



Rok XVI
37 (826)
CENA 1.50 ZŁ.

16. 9. 73.



O LITERATURZE TELEWIZJI I FILMIE

—mówi Kazimierz Kutz

Czytaj na str. 3

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

HALINA CYWIŃSKA

POLUBIĆ własną budę

Eksperyment

HELIODORA MUSZYŃSKIEGO

Magnetofon zarejestrował wszystko. Śmiech dzieci i gromadne przekrzykiwanie się. Wyznania wyseplenione przez czwartaków i całkiem już dorosłe uwagi tych, którzy lada moment opuścić mieli szkolne mury. Były nawet minuty ciszy w nagraniu, utrwalające moment namysłu. Ale ta cisza nie była groźną — tak dobrze znaną — barierą milczenia, które nie wróży nic dobrego. Coś się przelało w tradycyjnym układzie uczeń—nauczyciel. Ktoś przestał się bać, ktoś inny jakby nauczył się słuchać, odnajdując wartość wyznania wychowanka, choćby było okrutnie szczere, choćby miało zaboleć...

— Każda lekcja zaczyna się teraz szkolnym zawołaniem. Już nie nauczyciel otwiera dziennik, ale nasza przewodnicząca klasy melduje kogo dziś zabrakło na lekcji. To jest fajne...

— Jest teraz mnóstwo okazji do wyżycia się i dlatego mniej nudno. A w komisji szkolnej olimpiady była po raz pierwszy przewodnicząca samorządu szkolnego. Wcześniej wszyscy byli śmielsi...

— U nas w szkole jest bardzo dużo chłopców, którzy lubią muzykę i śpiew, a grać nie mają gdzie. Jakby szkoła mogła zakupić gitarę...

— Teraz widać większy zapal do nauki, nie ma już tego, że chce się odebrać te parę godzin i polecieć na podwórko, albo do domu... — Rodzice teraz częściej przychodzą do szkoły. Sami porabiali stare meble, żeby zrobić z nich podium dla chóru...

— Z początku dla mnie ten system był wielkim wyzwaniem i utrudnieniem życia młodzieży. Stale coś trzeba było robić, albo wymyślać samemu. Zdawało mi się, że nigdy się do niego nie przyzwyczaje. Ale teraz jest już dobrze i nawet

Dalszy ciąg na str. 7

KONRAD FREJDLICH

W końcu czerwca br. liczna grupa pracowników naukowych Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, spośród których nie brak było ludzi szczególnie ofiarnych i zasłużonych dla uczelni, otrzymała wypowiedzenia z pracy z sakramentalnym uzasadnieniem, że stało się to nieuniknione m.in. z powodu likwidacji niektórych pracowników oraz zmniejszenia limitu przyjęć na studia.

W ten sposób potwierdziły się paraliżujące działania uczelni od kilku miesięcy niepokoje i plotki, że poszukiwanie w związku z reformą szkoły nowych metod dydaktycznych jest zaskoną dymną dla starych

licznie reprezentowane, preżne środowisko twórcze. Nie miała to zasługa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, której absolwenci stanowią przeważającą większość członków okręgu ZPAP.

nie była ona konsultowana w środowisku twórczym. Nie ma także możliwości wypowiedzenia się na ten temat także pośrednio, gdyż od kilku lat szkoła zaniechała organizowania otwartych wystaw prac studenckich, które były nie tylko okazją zapoznania się z potencjalnymi możliwościami artystycznego narybku, ale także miejscem wymiany poglądów w kwestiach dotyczących współpracy uczelni z środowiskami plastyków.

Cóż więc kryje się za hasłem reformy przeprowadzanej w PWSSP w Łodzi?

„Łódzkie środowisko ar-

„REFORMATORZY”

jak świat metod personalnych polegających na unicestwieniu rzeczywistych i urojonych przeciwników. Sprawa odbiła się szero- kim echem w łódzkim środowisku plastycznym, legitymującym się sukcesami artystycznymi w Polsce i na świecie, które należało do silniejszych w kraju stanowi- zarazem w skali miasta naj-

Zdawać by się więc mogło, że między Szkołą i Związkiem istnieją liczne i trwałe powiązania. A jednak zapytany o ocenę sytuacji wiceprezes okręgu ZPAP w Łodzi Jerzy Jankowski stwierdził na samym wstępie, że ani on, sam ani związek nie mogą się wypowiedzieć w sprawie reformy w szkole z tej prostej racji, że nigdy

tystyczne — pisał w r. 1961 Jan Kowalski na łamach jednodniówki artystycznej grupy „Nowa linia” i KL ZMS pod nazwą „Z tej strony” — wiele zawdzięcza wielkiemu Strzebińskiemu. Szkoła Strzebińskiego dała miastu i powstającemu tu

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ GRUN

Nie należała ta ziemia nigdy do najspokojniejszych zakątków. Zawsze była ziemią pograniczną, a na kresach, wiadomo — „... i dziesięć cha- łup za życia wybudujesz, a

dziki, lesisty i górzysty, trudno dostępny, a tam, gdzie lasy wytrzebiono, bogaty ziemią urodzajną. Rosły tedy magnackie fortuny, sobiepańskie i butne, sarmackie, kresowe. O Rzeczypospolitą my-

skład województw: krakowskiego i lwowskiego. Nazywane były potocznie Polską B, co tłumaczyło się zacofaniem gospodarczym i cywilizacyjnym, co wykladało się nędzą, brakiem pracy i głodem ziemi. Wańkowicz w reportażu o przelatanym COP-ie, czyli Centralnym

Gdynia. W środku — ten trójkąt był pusty. Drogi wodne zapuszczone, przewożą 1 procent transportu. Odległość między mostami na Wiśle dochodzi do 70 km.

Ludność tego centrum Polski tzn. między Pilicą, Bugiem i Beskidami, wynosząca pięć milionów, dusi się w

ZBLIŻYĆ — ALE NIE ZNISZCZYĆ

Ile spalisz?” Rubież zawsze były mieszaniną narodowości i zawsze produkowały i przy- ciągały pewien określony typ ludzi. Zamieszkiwali więc tę ziemię Polacy i Rusini, osadnicy wołoscy, jeńcy szwedzcy, kozacy, tatarscy, Ormianie i Żydzi portugalscy i kto tam jeszcze chciał, a zatem ludzie odważni, bitni, często awanturnicy niepokahowani, ale tacy tylko dać mogli słuszną odprawę zagonom kozackim i tatarskim. Tędy też prowadzili drogi z zachodu na wschód, na Ruś i z Rusi na zachód. Kraj był

ślano tu jeno wtedy, gdy wróg stawał u granicy, a wtedy niczego nie szczeni- no ni krwi, ni mienia. Częściej też tu niż gdzie indziej buntował się chłop p...iszczyński, ponad miarę gniebiony. A kiedy po rozbiorach Wiedeń roz- toczył nad tymi ziemiami swoją cesarsko-królewską opiekę, doprowadzony do ostateczności urządził prze- sławną „rzeź galicyjską”, która tak obficie zaowoco- wała potem, na różne spo- soby, w literaturze i poezji.

W okresie międzywojen- nym obszary te wchodziły w

Okręgu Przemyslowym, sztabarowej inwestycji dwu- dziesięciolecia, wydany w 1939 roku pismo o narodni- nach przemysłu w widłach Wisły i Sanu, o Rożnowie, Mościcach, Stalowej Woli, Mielcu. Piszcie słowa dyktowa- ne nieklamany entuzjaz- mem i nadzieją. Ale dostrze- ga i inne obrazy aktualnej rzeczywistości. W „Sztafecie” czytamy: „Ujrzelśmy kraj wyjąłowany, 80 procent prze- wozów kolejowych skupiło się wzdłuż ramię trójkąta Śląsk — Warszawa — Lwów — Śląsk oraz w pionie Śląsk

bezroboczu i karłowatych gospodarstwach. Na tym zlepku kresów potężnych państw nie rozwinęła się ur- banizacja. W miastach Okr. Centr. zamieszkuje 17 procent ludności, gdy przecięt- nie ludność miejska stanowi 28 procent. Ci na wsi gnie- dzą się na niebywale roz- drobnionej ziemi; w wielu miejscach karłowate gospo- darstwa poniżej 2 ha stano- wią 80 proc. wszystkich gos- podarstw. Wydrapana jest

Dalszy ciąg na str. 6



JERZY DERKOWSKI — Krzysztofowi Kamelowi Ba- czynskiemu. Rys. tuszem

DZIEŃ PARTYJNEGO CZYNU

W ramach przygotowań do Krajowej Konferencji Partyjnej, zgodnie z uchwałą IX Plenum KC PZPR, Biuro Polityczne postanowiło niedzielę 30 września ogłosić dniem OGÓLNOPARTYJNEGO CZYNU SPOŁECZNEGO I PRODUKCYJNEGO.

Projekt ten spotkał się z powszechną aprobatą przeszło 2-milionowej rzeszy członków i kandydatów partii. Podobnie jak zobowiązania przed VI Zjazdem PZPR, akcje na rzecz banku „20 i 30 miliardów”, wykonane w tym dniu prace przyniosą niebagatelne efekty ekonomiczne. Będzie to jednocześnie, a chyba przede wszystkim, przykład partyjnego działania i myślenia wzorem patriotycznych postaw, sprawdzianem dobrej roboty, wzorowej organiza-

wsiach, gdzie organizatorami będą Komitety Gromadkie i POP w pracy społecznej weźmie udział cały aktyw społeczno-polityczny.

Prace podjęte 30 września będą miały różnorodny charakter, w zależności od miejscowych potrzeb i możliwości, z myślą, aby przyniosły konkretny, dokładnie zbilansowany efekt społeczny lub produkcyjny. W ośrodkach miejskich będą to przede wszystkim prace przy budowie obiektów i porządkowaniu terenów użyteczności publicznej. W zakładach przemysłowych prace będą się głównie skupiały na przygotowaniu i usprawnieniu produkcji, trwałym porządkowaniu terenu, budowie i porządkowaniu urządzeń socjalno-bytowych, itp. W przedsiębiorstwach budowlanych będzie to z kolei sprawa porządkowania pla-

ców budowy, konserwacja maszyn. Na terenie wiejskim najważniejszym zadaniem będzie budowa dróg, urządzeń komunalnych i sportowych, tak aby efekty czynu służyły społeczeństwu całej gminy bądź wsi.

Czyn produkcyjny w zakładach pracy będzie podejmowany w zasadzie tylko tam, gdzie produkcja służy pilnym potrzebom zaopatrzenia rynku, oraz gdzie istnieje pełne pokrycie surowcowe na dodatkową produkcję. Partyjny czyn produkcyjny będzie podjęty również pod warunkiem uruchomienia produkcji siłami członków partii.

Dla osiągnięcia jak najlepszych efektów ogólnopartyjnego czynu społecznego i produkcyjnego we wszystkich organizacjach partyjnych dokonuje się obecnie intensywnych przygotowań. W

naszym mieście przy poszczególnych komitetach dzielnicowych i na szczeblu KL PZPR powołane zostały Sztaby Czynów, którymi zadaniem jest przygotowanie frontów pracy, wybór najbardziej właściwych zadań, zabezpieczenie sprzętu ręcznego i maszynowego, opracowanie szczegółowych harmonogramów prac. Sztaby Czynu czuwają również nad tym, by wszędzie tam gdzie wymagane jest uzbrojenie terenu lub przygotowanie dodatkowych urządzeń — wcześniej, w ramach dodatkowych zobowiązań, przygotowano potrzebne elementy.

W połowie września, po zakończeniu wstępnych prac przygotowawczych, odbędzie się zebrania grup partyjnych i POP, gdzie szczegółowo zostaną przedyskutowane sposoby realizacji podjętych, zobowiązań, z określeniem

miejsca, celu i niezbędnych środków, aby podjęty trud przyniósł konkretne i możliwie największe rezultaty.

Wielkie wydarzenia w życiu państwa i naszej partii mobilizują uwagę i aktywność społeczeństwa. Różne są tego dowody i efekty. Uczczenie pracą zbliżającej się Krajowej Konferencji Partyjnej jest jeszcze jednym z tych licznych przykładów, które charakteryzują działanie polskich komunistów: ofiarność i żarliwość, poczucie wartości i siły w jednolitym działaniu, zdyscyplinowanie i gospodarność, świadomość konieczności wzmożonego wysiłku dla socjalistycznej Ojczyzny. Dania krajowi tego, czego kraj oczekuje, na miarę potrzeb — i jeszcze więcej! JAK 30 WRZEŚNIA...

(J. W.)

prognoza rozwoju kultury polskiej do 1990 roku

Pod tym tytułem ukazał się ważny dokument, który w najbliższej przyszłości niewątpliwie skupi uwagę, mówiący ogólnie, ludzi kultury. Chyba nie tylko, bo przecież od trzech bez mała lat odzywczajemy się od myślenia tylko o problemach własnego podwórka. Na nowym etapie rozwoju społeczno-gospodarczego, który otworzył VI Zjazd PZPR, problemy, które zarysowuje „Prognoza” otrzymają rangę szczególną, gdyż troska nie tylko o materialny, ale duchowy rozwój naszego społeczeństwa, wynika z oczywistej jedności świadomości i bytu. Sygnalizując czytelnikom

powstanie tak doniosłego dokumentu, chciałbym się podzielić kilkoma zaledwie, ogólnymi refleksjami, a przede wszystkim podkreślić jego precedensowy charakter. Nie mieliśmy bowiem do tej pory żadnej wizji, żadnej ogólniejszej i w tak rozległej perspektywie zarysowanej refleksji o kształcie kultury jutra. Również aktualny stan badań nad kulturą polską nie ułatwił pracy powołanej w tym celu Komisji Prognozowania przy Ministrze Kultury i Sztuki (członkiem prezydium tej komisji jest m. in. prof. dr Antonina Kłoskowska z Uniwersytetu Łódzkiego). Ograniczony czas

przeznaczony na opracowanie prognozy nie pozwolił na inicjowanie nowych badań, które zapewniłyby istniejące luki wiedzy o współczesnej kulturze (np. brak prawie zupełnie badań z zakresu ekonomiki kultury). Również brak prognoz rozwoju wielu dziedzin mających pośredni i bezpośredni wpływ na perspektywę rozwoju kultury (np. brak prognozy rozwoju oświaty, wydawnictw, środków masowej informacji — prognozy są opracowywane równolegle) stawał Komisję Prognozowania przed koniecznością selekcji wielu problemów, które można będzie podjąć dopiero w przyszłości.

Mimo przytoczonych wyżej ograniczeń otrzymaliśmy dokument nie tylko ważki, ale znakomicie opracowany, który uwiecznił rzetelny i twórczy wysiłek dziesiątków pracowników naukowo-badawczych z różnych instytucji i placówek kulturalnych. Uwzględniający (jak stało się nie tylko dobrym, ale obowiązującym zwyczajem), opinie bezpośrednio zainteresowanych — wybitnych twórców polskiej kultury.

Nie od rzeczy będzie chyba w tym miejscu przypomnienie, że prognozowanie w ogóle, a szczególnie prognozowanie kultury jest no-

wym narzędziem poznania i kształtowania społecznej rzeczywistości. Nie tylko nam brakuje doświadczenia w tego rodzaju pracach, ale i na całym świecie.

Komisja Prognozowania przyjęła za podstawę prac prognostycznych marksistowską teorię rozwoju społeczeństwa, ponieważ jedynie ona zapewnia możliwości wykrywania i analizowania tych elementów, które odgrywają decydującą rolę w kształtowaniu procesów rozwojowych, przewidywaniu przemian społecznych (a więc i kulturowych); ona także zapewnia właściwy dobór kryteriów zaspokojenia aspiracji i potrzeb kulturalnych społeczeństwa.

Prognoza nie jest więc przepowiednią, ale także nie można utożsamiać jej z planem, wytycznymi działania. Spełnia jednak bardzo ważną rolę inspirującą w sferze programowania. Dopiero z kolei program poddany ocenie ekonomicznej, przemierzony do realnych możliwości kraju, zostaje przekształcony w plan rozwoju. Dodajmy jeszcze dla jasności, że zgodnie z przyjętą wykładnią, prognoza ma charakter otwarty i wariantowy. Oznacza to, że prognozowanie ma niezmierzony charakter ciągły i po-

zostaje korektom uwzględniającym aktualny stan badań naukowych. Przedstawienie wariantów rozwoju społecznego pozwala na odpowiednio wcześniejsze skoncentrowanie wyobraźni i środków dla przeciwdziałania czy likwidacji zjawisk, które w socjalistycznym społeczeństwie nie powinny mieć miejsca.

Oprócz tych zasadniczych funkcji prognozowanie spełnia również nie mniej ważną rolę: przedstawiając perspektywę kulturalnego rozwoju kraju, aktywizuje społeczeństwo. I słusznie twierdzą autorzy „Prognozy”, że

dokument zainteresuje liczne grupy ludzi, twórców i działaczy kultury, że stanie się bodźcem do dyskusji, co pomoże w pracach nad szczegółowymi założeniami perspektywnego planu i programu.

Tak będzie na pewno w naszym mieście. Już we wrześniu z inspiracji Komitetu Łódzkiego Partii odbędzie się pierwsze spotkanie dyskusyjne z przedstawicielami środowisk twórczych i działaczy kultury.

JERZY WAWRZAK

Okręg Łódzki Związku Polskich Artystów Plastyków przyznał medale w dziedzinie malarstwa, grafiki i rzeźby oraz medale za realizację za okres 1972/1973 następującym artystom:

— w dziedzinie malarstwa medale otrzymali: JERZY WOŹNIAK, TADEUSZ KOKIETEK, BOHDAN SKRÓPIŃSKI i ANDRZEJ GIERAGA.
— w dziedzinie grafiki: JANINA HABBAS i JANUSZ IWANIUK
— w dziedzinie rzeźby: KRYSZYNA FOLDYGA-SOLSKA i ANDRZEJ JOCZ
Za realizację medale otrzymali: BOGUSŁAW BALICKI i STANISŁAW LABĘDZKI — za całokształt prac graficznych WACŁAW WOŁOSEWICZ — za Pomnik Zwycięstwa i Braterstwa w Siedlcach WŁADYSŁAW BOJKOW — za realizację wnętrza „Teatru Himpexu” JERZY DERKOWSKI — za ekspozycje: „Plakat WAG-u” i „Zabytki Łodzi w fotografii”.

Serdecznie gratulujemy.

ZE ŚWIATA

- * W GDAŃSKU I WARSZAWIE O MIĘDZYNARODOWEJ WSPÓŁPRACY I POSŁANNICTWIE NAUKI
- * DYSKUSJA 100 KRAJÓW
- * W STRONĘ TOKIO I PEKINU

Być może zdziwi to kogoś, ale konferencja w sprawie ochrony rybołówstwa i żywych zasobów Bałtyku jest ważnym politycznym wydarzeniem międzynarodowym. Nie tylko dlatego, że biorą w niej udział delegacje 7 państw bałtyckich, ale przede wszystkim dlatego, że otwiera pożyteczny precedens. Może — jak się wyraził m. in. S. Olszowski w czasie jej otwarcia —

„stać się modelowym porozumieniem dla państw położonych w innych regionach świata i to zarówno w zakresie żywych zasobów morskich, jak i w dziedzinach dotyczących pełnego wykorzystania bogactw mórz i oceanów w interesie wszystkich państw, w interesie kształtowania dobrosąsiedzkich i przyjaznych stosunków i współpracy między narodami”.

Rząd Polski wielokrotnie występował z inicjatywami, odnoszącymi się do współpracy na Bałtyku. Jedną z nich była propozycja opracowania konwencji o rybołówstwie i ochronie żywych zasobów Morza Bałtyckiego. Dyplomaci z szczytu krajów przyjechali więc do Gdańska z naszej inicjatywy. Z kolejną propozycją, dotyczącą uregulowania zagadnienia ochrony środowiska Bałtyku, wystąpiła Finlandia.

Znaczenie obu tych inicjatyw polega zarówno na przedsięwzięciu konkretnych kroków, mających na celu zapobieżenie dalszemu wymieraniu życia biologicznego morza, jak i zapoczątkowaniu ścisłej współpracy krajów basenu Bałtyku. Wody Morza Bałtyckiego są najbardziej ruchliwymi, a roczne odłowy ryb wynoszą ok. 700 tys. ton. Z tej wielkości wynika gospo-

darstwo znaczenie rybołówstwa na Bałtyku. Niestety — rozwój przemysłu i rolnictwa w krajach nadbałtyckich zaczął zagrażać morzu. Stopień zanieczyszczenia wód wzrósł niebezpiecznie. W pełni zasadna jest więc troska o przyszłość Bałtyku.

Alle przyjęcie polskiej inicjatywy, dojdzie do skutku dyplomatycznej konferencji i szybkie osiągnięcie na niej zbliżenia stanowisk — jest także doskonałą ilustracją procesów odprężeniowych w Europie i gotowości krajów naszego kontynentu do wszechstronnej współpracy gospodarczej. A to mieści się już nie tylko w kategoriach gospodarczych, lecz także politycznych.

W tym samym czasie, kiedy rozpoczęła się w Gdańsku omawiana konferencja — w Warszawie zainaugurowano obrady nadzwyczajnego kongresu Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Zjechało nań tysiąc uczonych z całego świata, aby złożyć hołd Mikołajowi Kopernikowi. Przemawiając na Kongresie premier P. Jaroszewicz zwrócił uwagę, że szlachetne posłannictwo nauki

„w epoce odprężenia międzynarodowego powinno stać się imperatywem moralnym, wyznaczającym postawy i dążenia uczonych całego świata”.

Podkreślamy te słowa, gdyż współbrzmiały one doskonale z rozwojem międzynarodowej sytuacji, w której górą bierze troska o pokojowy rozwój narodów.

IV konferencję krajów niezaangażowanych w Algierze śmiało można nazwać największą naradą tzw. trzeciego świata. Bierze w niej bowiem udział ponad 100 delegacji, najczęściej z szefami państw lub rządów na czele.

Na konferencji dominujący głos należy do krajów Azji i Afryki, które są najliczniej reprezentowane. Jednakże nie można nie zauważyć, że tym razem uczestniczy w niej już jako pełnoprawni członkowie 6 państw Ameryki Łacińskiej, a 9 dalszych otrzymało status obserwatorów. Jest to znamienne ewolucja, świadcząca, że „niezaangażowanie” ogarnia również kontynent amerykański.

Z dyskusji pierwszych dni łatwo wyliczyć jej główne kierunki. Są to:

pełne wyzwolenie i rzeczywiste równouprawnienie krajów „trzeciego świata”, co wymaga likwidacji resztek kolonializmu, wyeliminowania wszelkiej dyskryminacji i wydobycia bogactw naturalnych spod kontroli obcej oraz umocnienie światowego bezpieczeństwa.

Algierskie obrady obserwujemy w Polsce z największą uwagą. — Jesteśmy bowiem — razem z innymi krajami socjalistycznymi — niezawodnym sojusznikiem wszystkich narodów, walczących o swą suwerenność i postęp.

„Polska — czytamy w depeszy Edwarda Gierka do uczestników konferencji — przywiązuje wielkie znaczenie do roli, jaką odgrywa państwa niezaangażowane w rozwoju wszechstronnej współpracy międzynarodowej, w walce o postęp, sprawiedliwość i niezależność narodów. Pragnie zapewnić, że wysiłki państw niezaangażowanych w tym kierunku spotkają się zawsze z gorącym poparciem Polski”.

W bieżącym tygodniu zainteresowania obserwatorów wydarzeń kierują się również w stronę Tokio i Pekinu.

W stolicy Japonii zbierają się eksperci z 81 krajów członkowskich Układu Ogólnego w sprawie Cel i Handlu (GATT), aby przygotować międzynarodowe negocjacje handlowe. Jak się przypuszcza — rozpoczyna się one w listopadzie w siedzibie GATT — Genewie i będą najważniejszymi z wszystkich dotychczasowych.

Do stolicy Chin natomiast udał się z wizytą państwową Georges Pompidou. Warto zauważyć, że jest to pierwsza podróż do Pekinu szefa państwa zachodnioeuropejskiego od 1949 r. i pierwsza wizyta wysokiej rangi po X Zjeździe KPCh, który umocnił pozycję Czou En-laj — gospodarza prezydenta Francji.

Przypomnijmy, że Paryż pierwszy ze stolic zachodnich — w 1964 roku — nawiązał stosunki dyplomatyczne z Pekinem, a gen. de Gaulle tuż przed śmiercią wybierał się do Chin. Francuskie koła polityczne podkreślają więc, że wizyta Pompidou jest spełnieniem woli jego poprzednika.

W. ŚLAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZ-KIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI.



KAZIMIERZ KUTZ

O LITERATURZE TELEWIZJI I FILMIE

Z KAZIMIERZEM KUTZEM

rozmawia
JERZY WAWRZAK

KAZIMIERZ KUTZ ur. w 1929 w Szopienicach k/Katowic, w rodzinie robotniczej. Ukończył gimnazjum w Katowicach a następnie Wydział Reżyserii PWSFT w Łodzi. W czasie studiów pracował jako asystent, a po ukończeniu studiów jako II reżyser w kilku filmach m. in. Wajdy i Kawalerowicza. Do chwili obecnej jest autorem dziesięciu filmów, m. in. KRZYŻ WALECZNYCH, MILCZENIE, SKOK, TARPANY, NIKT NIE WOŁA, SÓL ZIEMI CZARNEJ, PERŁA W KORONIE. Laureat Nagrody Państwowej I stopnia. W ub. roku Wydawnictwo „Śląsk” opublikowało jego powieść pt. „Sól Ziemi Czarnej” opartą na motywach scenariusza filmu pod tym samym tytułem.

Obecnie Kazimierz Kutz jest kierownikiem Zespołu Filmowego „Silesia” w Katowicach, naczelnym reżyserem TV-Katowice, oraz członkiem zespołu redakcyjnego tygodnika „Literatura”.

— Związki między literaturą a filmem od dawna wywołują wiele kontrowersji. Czy tekst literacki jest tylko pretekstem, lub surowcem do pracy reżysera?

Czy, wreszcie, film może obejść się całkowicie bez literatury? Należy Pan do reżyserów, którzy mają na swoim koncie realizację filmów, opartych o dzieła literackie, jak np. Józefa Hena, Mariana Brandysa, Jerzego Szczygła, jak również filmy zrealizowane wyłącznie w oparciu o własne scenariusze: „Sól ziemi czarnej” i „Perła w koronie”.

— Tak sformułowane pytanie dotyczy wielu szczegółowych zagadnień i miesza się w nim całe obszary historii kina. A po drugie, wszystko zależy od indywidualnych przypadków, związków reżysera z literaturą w ogóle i od pisarza, po którego sięga. Jedno jest pewne, że film bez literatury istnieć nie może. Zwalazcza, że w ostatnim 15-leciu, na naszych oczach, film sam staje się coraz częściej formą literatury współczesnej. Po wojnie język kina przeszedł szereg ewolucji i rozwinął się do tego stopnia, że obok funkcji użytkowej w stosunku do literatury, sam się nią staje. Wszystkie te procesy są mniej zauważalne na przykładzie rodzimego kina, które od wielu kinematografii różni się tym, że jego związki z literaturą są tradycyjnie niewolnicze. Wielka erupcja sztuki filmowej w Polsce pod koniec lat pięćdziesiątych była tego najdobitniejszym dowodem. Jeśli dodać, że większość naszych reżyserów ma silne skłonności ulegania aktualnym modom, to wypada stwierdzić, że nasze uczestnictwo w tych wielkich przeobrażeniach współczesnej sztuki filmowej ma charakter marginesowy, zgola eksperymentalny. Na dobrą sprawę można by w tym kontekście wspomnieć tylko o twórczości Krzysztofa Zanussiego, Tadeusza Konwickiego i kilku reżyserów najmłodszego pokolenia.

— W jakim więc kierunku powinny zachodzić zmiany, aby wzajemna korelacja między literaturą a filmem

przynosiła najbardziej twórcze efekty?

— W moim przekonaniu film zaczyna zdecydowanie dzielić się na utwory użytkowe, które mają do literatury stosunek mechaniczny, po prostu z niej korzystają, adaptując lepiej lub gorzej utwory literackie i na sztukę filmową autonomiczną, nową literaturę obrazu. U nas zjawisko to nazywamy dość enigmatycznie filmem autorskim, co dowodzi bezradności wobec samego zjawiska. Pojęcie „film autorski” nic nie znaczy i ma swoje źródła w tym, że w Polsce filmowcy nie przyjęli do wiadomości faktu istnienia telewizji. Na Zachodzie przeobrażenia w kinie wyrastają z silnej konkurencji i opozycji do telewizji, która odbiera widza. U nas zaś stosunek do TV jest równie bezmyślny jak do literatury. Mamy więc taką sytuację, że filmowcy dość jałowo przeżywają produkcję literacką, a TV zjada film. W efekcie pisarze nie są zadowoleni z filmów, które powstają w oparciu o ich książki, a widzowie z filmów. Ambitna TV coraz częściej kwestionuje poziom dostarczonej produkcji.

— Czy to, co powiedział Pan o relacji „TV — Film” wynika z Pańskich doświadczeń w pracy na stanowisku naczelnego reżysera Telewizji Katowice?

— Tak. Telewizja zmierzająca do usamodzielnienia się, zwłaszcza, że jest naturalną wyłęgarnią młodych talentów filmowych. I jest dla nich o wiele życzliwszym i

mądrzejszym mecenasem, niż kinematografia.

— Przyzna Pan, że naturalne ryzyko, jakie podejmuje się przy debiucie w TV, jest znacznie mniejsze.

— Chyba nie. Ceny produkcji filmów są takie same. A oddziaływanie nieporównywalnie szersze... Środowisko filmowe stoi na wygodnym dla siebie drożdzu. Z jednej strony niski pułap ambicji kinematografii, z drugiej zachłanność telewizji. W tej sytuacji wszelkie przejawy działalności konkurencyjnej uśmiercane są w zarodku.

— Czy mógłby Pan ten kontrowersyjny pogląd zilustrować jakimś przykładami?

— Nie widzę takiej potrzeby. Wystarczy pójść do kina na polski film, albo włączyć telewizor. Zespoły filmowe, które miały podzielić środowisko realizatorów na konkurencyjne ze sobą ugrupowania, z winy samego środowiska, ale głównie dzięki administracji, przestoczyły się w niewiele znaczące sztydy, sankcjonujące istniejący od dawna stan rzeczy.

— W środowisku filmowym, zresztą jak w każdym środowisku twórczym, nie brak chyba fermentów ideowych i dyskusji. Biorąc pod uwagę sytuację, którą Pan nakreślił oraz dokonane ostatnio zmiany w kinematografii — oraz w szerszym już wymiarze — opracowaną prognozę rozwoju kultury polskiej do roku 1990, jakie Pan widzi szanse wyjścia z obecnego, niewątpliwego impasu.

— O fermentach i dyskusjach nie słyszałem. Z nowym kierownictwem wiąże poważne nadzieje. A z opracowania po raz pierwszy prognozy rozwoju kultury polskiej najwyżej się cieszę. Dowodzi to bowiem

traktowania naszej kultury jako dziedziny pierwszoplanowej, równie ważnej jak rozwój społeczno-gospodarczy. Liczę na to, że w zbliżających się dyskusjach wokół tej „prognozy” zostanie podważony i obalony XIX-wieczny model polskiej kultury. Egzemplifikując na przykładzie kinematografii, widzę potrzebę wprowadzenia daleko idącej policentryzacji, stworzenia samodzielnego ośrodków twórczych i produkcyjnych wszędzie tam, gdzie istnieją naturalne, żywo tętniące źródła naszej sztuki, a więc tam, gdzie istnieją w odpowiedniej skali środowiska artystyczne. Oczywiście musiałyby one zostać wsparte środkami na stworzenie kompleksowej bazy materialnej takiej wielkości, która by gwarantowała rozwój i zaspokojenie ambicji twórczych tych ośrodków co najmniej do lat dziewięćdziesiątych.

— Przyzna Pan, że Łódź posiada już takie wszechstronne warunki. Od dawna jednak powołanie zespołu filmowego kończy się na postulowaniu. Panu udało się jak do tej pory rzecz bezprecedensowa. Od dwóch lat istnieje w Katowicach kierowany przez Pana zespół „Silesia”. Chciałbym Pana spytać, jako absolwenta łódzkiej WSTFiT i jako producenta związanego ściśle z łódzką Wytwórnią Filmów Fabularnych, jak Pan ocenia możliwości powstania zespołu w naszym mieście?

— Sam Pan widzi, że wszystko stoi na głowie. I w całej rozciągłości potwierdza przytoczone wyżej moje opinie. Warszawa skupia 90 procent polskich reżyserów, ale nie ma własnej bazy produkcyjnej. Łódź ją posiada, ale nie ma prawie reżyserów. Z kolei reżyserzy, mieszkający w Łodzi (Kłuba, Królikiewicz, Wiszniewski) i Krakowie pra-

cuja u mnie w Katowicach. Ale ja z kolei nie mam bazy. Szczerze muszę wyznać, że zakładając Zespół w moim mieście, chciałem wokół siebie stworzyć grupę twórczą, działającą jawnie w opozycji do istniejącej struktury centralnej; zrobić w niej wyłom i zabezpieczyć grupie w najbliższej przyszłości nowoczesną bazę filmową.

— Mówiąc banalnie, trzeba zrobić ten pierwszy krok, podjąć ryzyko, odwołać się do lokalnych ambicji, rozpocząć nawet partyzantkę. Pan się tego nie bał i wygrał.

— Wczytując się w prognozę rozwoju kultury rzeczywiście czuję się trochę partyzantem. Bać się nie bałem, ale czy wygram, pokaże dopiero przyszłość.

— To chyba przesadna ostrożność. W Pańskim zespole powstały już takie filmy, jak Wojciecha Hasi „Sanatorium pod Klepsydrą”, Grzegorza Królikiewicza „Na wylot” — filmy, które niewątpliwie wejdą do historii polskiego kina. I można się chyba już pokusić o konkluzję, że Pańska idea, za którą stoją te dokonania, powinna być jak najszybciej upowszechniona.

— W każdym bądź razie byłoby lepiej dla naszej kultury, dla naszego widza, by powstawały prężne ugrupowania twórcze wszędzie tam, gdzie istnieją naturalne podłoże. Aby powstały filmy katowickie, łódzkie, krakowskie, wrocławskie, gdańskie, warszawskie... Powstałe tam w przyszłości dzieła mogą ze swej natury mieć wielką szansę na pokazanie prawdy o naszym kraju. Tam jest przecież Polska, czy w głównej mierze Polska. Jej odmienność, różnorodność, te wszystkie wartości, które tworzą narodową skarbnicę talentów.

— „Głos Robotniczy” podjął prasową kampanię pn. „Jaki ma być wybitny film o Łodzi”. Wywołana dyskusja jest w pewnym sensie firmowana Pańskim nazwiskiem. Mam wątpliwości, czy tędy droga. Jako pisarz wiem, że książki nie powstają na zamówienie, a jeśli nawet, to na ogół złe. To powoduje mój sceptycyzm, bo mnożyć postulatów łatwo, ale jak wiadomo „dobrymi chęciami piekło wybrukowane...”

— Trudno mi sądzić, ale wybitnego filmu nie da się stworzyć za pomocą uchwały, czy rejestru dobrych chęci. Łódź niewątpliwie zaprzepaściła swoją szansę. Z jednej strony nie stworzyła widocznie odpowiednich warunków, aby zapobiec masowemu exodusowi reżyserów z waszego miasta. A z drugiej, mając u siebie jedyną uczelnia filmową w kraju nie zadbała o to, aby na każdym kolejnym roku zasiedli na ławie tej szkoły młodzi ludzie z Bałut, Chojen, Widzewa. Wiem najlepiej po sobie, że „inwestycja” w kulturze to inwestycja w konkretnego człowieka. Wybitny film o Łodzi w moim przekonaniu może zrobić człowiek, który się w niej urodził, który się jej nie wstydi i ma ją we krwi. Ma świadomość klasową, poczucie więzi ze swoim środowiskiem, z którego wyszedł, ale od którego się nie oderwał i czuje dla niego szacunek.

Ponadto podejmowanie takich inicjatyw jest dla mnie podejrzane, gdyż często wokół słusznego hasła kreca się ludzie, którzy widzą łatwe możliwości zdyskontowania swoich drobnych interesów.

— Dziękuję Panu za rozmowę. Sądzę, że spotka się ona z zainteresowaniem naszych środowisk twórczych. A dla władz kinematografii będzie jeszcze jednym ważkim nrzrzuomnieniem załazszanych od dawna postulatów.

Dalszy ciąg ze str. 1

po wojnie nowemu środowisku artystycznemu silna podbudowa teoretyczna i plastyczna, zarówno na odcinku sztuki „czystej” jak i „użytkowej”. Jego ogromny wpływ na kształtowanie się osobowości artystycznych twórców tego pokolenia, które zetknęło się z nim bezpośrednio, przejawiał się przede wszystkim w silnym związaniu pewnej grupy malarzy ze współczesną sztuką. Wybitne osiągnięcia artystyczne Strzebińskiego stały się początkiem, fermentem twórczym, pobudzającym nie tylko do kontynuacji jego osobistej drogi artystycznej, ale i do przeciwdziałania się jej — stały się bodźcem do własnych, indywidualnych poszukiwań twórczych byłych jego uczniów. Wartość wpływu Strzebińskiego na swych młodych wówczas słuchaczy da się ocenić tylko wtedy właściwie, jeżeli będzie się pamiętać o tym, że za miernik osiągnięć należy przyjąć obiektywny poziom artystyczny wychowanków niezależnie od tego, czy jest on kontynuacją czy zaprzeczeniem linii artystycznej Strzebińskiego.

Wpływ Strzebińskiego na PWSSP w Łodzi, gdzie wykładał ten wybitny artysta i teoretyk sztuki przejawiał się m.in. i w tym, że od swego zarania uwzględniła w programie nauczania wzornictwo przemysłowe widząc w nim nie tylko korzyści użytkowe i społeczne konieczności, ale także teren nowych, niespożytkowanych do tej pory poszukiwań twórczych dających pełnię artystycznej satysfakcji. Z czasem jednak postulat nowych penetracji estetycznych zaczęto pojmować zbyt wąsko, co doprowadziło do kadłubowego charakteru łódzkiej uczelni posiadającej jeden tylko wydział: Tkaniny i Ubiory. Toteż w kręgu wychowanków Szkoły, którzy z czasem podzieliли tu pracę dydaktyczną, zrodziła się myśl wypracowania nowego modelu nauczania respektującego możliwości różnych dyscyplin plastyki.

Nie była to czcza tylko kontestacja tzw. młodych asystentów, którzy przezwali siebie „Klubem Stokrotki”, w czym zawierała się aluzja do setki pomysłów młodych odmieńców sytuacji w Szkole. Burzliwe, dyskusyjne zebrania, na których nieoficjalna półprywatna komisja przedstawiała swoje projekty, doprowadziły do wykrystalizowania się pe-

niejszego programu. Poddany publicznej, oficjalnej dyskusji wzbudził wiele sprzeciwów i zastrzeżeń, został więc przez projektodawców skorygowany, ale nawet w nowym kształcie nie znalazł uznania ówczesnych władz uczelni. Zdawać by się więc mogło, że reforma szkoły, postulowana także przez środowisko plastyków, nie do-czeka się nigdy realizacji.

Tymczasem przekształcenia modelowe stały się nagle koniecznością administracyjną dzięki inicjatywie Departamentu Szkolnictwa Artystycznego Ministerstwa Kultury i Sztuki, który od pewnego czasu wdrażał już zmienione programy w innych wyższych uczelniach plastycznych w kraju kierując się postulatami ich aktualizacji i zbliżenia do wymogów życia. Warszawa powołała nawet komisję ministerialną, która miała rozstrzygnąć o nowym kształcie łódzkiej szkoły i tylko zdecydowana postawa egzekutywy POP przy PWSSP sprawiła, że Ministerstwo zgodziło się, aby nowy program opracowano siłami uczelni. Wyłoniono też wreszcie oficjalną komisję, na której czele stanął dojeżdżający z Warszawy prof. Roman Artymowski, dotychczasowy rektor PWSSP. Program opracowany pod jego kierownictwem został zatwierdzony na otwartym zebraniu partyjnym. Był na tyle okólny, że nie wzbudził dyskusji. Któż sprzeciwiałby się tak oczywistemu postulatowi jak konieczność powiązania sztuki z nauką. Słowo „integracja”, tak modne w owym okresie, gwarantowało nowoczesność rozwiązań. Był co prawda sceptycy, którzy już wtedy głosili, że jest to reforma bez reformy, ale program przynosił szkole niewątpliwą korzyść: nowy wydział grafiki. Pogodzono się więc z tym, że w komisji programowej były rażące dysproporcje jeśli chodzi o udział specjalistów różnych dyscyplin sztuki i te braki wielopłaszczyznowego widzenia musiały się automatycznie przełożyć do nowej koncepcji modelowej.

Przyznając, że komisja programowa pracowała w zbyt wąskim gronie dziekan wydziału Tkaniny i Ubiory

prof. Tomasz Jaśkiewicz informuje, że istota reformy jest położenie silniejszego akcentu na łączenie procesów technologicznych z pracą projektową. Wprowadzono nowe przedmioty nauczania: fotografię i film. W ramach jednej pracowni utworzone zostały grupy dydaktyczne przy niezmiennym liczbie kadry. Zastąpiła także potrzeba zatrudnienia nowych pracowników. Tylko w ub. roku akademickim przyjęto do pracy 19 osób w związku ze stworzeniem nowego wydziału i przekształceniami strukturalnymi uczelni.

Tyle dziekan Jaśkiewicz, który wszakże nie potrafi wytłumaczyć dlaczego więc dokonano w uczelni przed-

wnictwu uczelni na bezprawność wypowiedzenia stosunku pracy Henrykowi Strumiłłowi, aktualnemu wiceprezidentowi Rady Zakładowej PWSSP, jako dokonanego bez zgody związku, co stanowi naruszenie przepisów prawa pracy chroniącego pracowników pełniących społeczne funkcje. W liście tym, datowanym 31. VII br. rektor Artymowski prosiąc już tym razem Okręg o wyrażenie zgody na rozwiązanie stosunku pracy ze Strumiłłą pisze m.in.:

„Kierownictwo uczelni typując do zwolnień — które stały się nieuniknione m.in. z powodu likwidacji niektórych pracowni oraz zmniejszenia limitu przyjęć na studia — poszczególnych pra-

ta groźna komisja stosowała kryteria.

Reforma realizowana od dwóch lat z dużymi przeszkodami ze względu na braki materialne i lokalowe szkoły, obejmuje roczniki najmłodsze i znajduje się dopiero w powojakach. Nie wypracowano jeszcze programu pracy dydaktycznej katedr, którego realizacja stanowiła mogła dopiero podstawę oceny ludzi, co świadczy niedwuznacznie, że uczelniana komisja kierowała się co najwyżej sobie własną argumentacją. Milczał taktycznie na ten temat indagowany przeze mnie spotkany przypadkowo prof. Henryk Anders, prorektor PWSSP. A co najdziwniejsze represje, bo tak chyba

tożami zastraszania, rozstawiania po kątach, zwalniania z pracy, nie osiągnięciu przecież „dynamicznej stabilizacji”, bez której trudno mówić o rzeczywistym wdrożeniu reformy. Sytuacja w Szkole, w świetle ostatnich posunięć, władz uczelni jest więcej niż niepokojąca. Stawia pod znakiem zapytania sprawy postępu i rozwoju, którego nie można robić na siłę, depcząc prawo i zasady współżycia społecznego. Bo jak na przykład wytłumaczyć likwidację prowadzonej społecznie przez prof. Zdzisława Głowackiego pracowni malarstwa architektonicznego i to w dobie, gdy coraz więcej

„REFORMATORZY”

wakacyjnej czystki i ograniczenia się do uwagi, że tymi sprawami zajmowała się uczelniana Komisja do spraw Wdrażania Programu, na której czele stał prorektor prof. Krystyn Zieliński. O wypowiedziach decydowali nie bezpośredni przełożeni usuniętych pracowników, tylko komisja, która trzymała wszystko do ostatniej chwili w tajemnicy. Doc. Aniela Bożusławska kierująca katedrą tkaniny bez wiedzy której zwolniono adiunkta Zofię Litak złożyła nawet w tej sprawie odwołanie na piśmie do władz uczelni. Złożył także odwołanie także dziekan Jaśkiewicz wobec wypowiedzenia pracy adiunktowi Marii Horbaczewskiej, która jest jedyną żywicielką rodziny.

Nie mogąc zasięgnąć informacji u źródła, gdyż zarówno rektor PWSSP jak i dwaj prorektorzy w sierpniu, a więc w tym czasie, gdy przypadał termin rozpatrzenia odwołań pracowników, którym wypowiedziano pracę, wzięli zbiorowy urlop (co ma swoją wymowę), musiałem posłużyć się metodą dedukcji. Posłużył mi do tego list rektora PWSSP, Romana Artymowskiego, stanowiący odpowiedź na pismo Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Pracowników Kultury w Łodzi, który zwrócił uwagę kiero-

cowników, kierowało się przede wszystkim stopniem ich przydatności w uczelni jako nauczycieli akademickich, stwierdzonym m.in. przez uczelnianą Komisję ds. Wdrażania Programu.

Jednocześnie informuje, iż dokument stwierdzający skład osobowy naszej Rady Zakładowej, wyłonionej na posiedzeniu plenarnym w dn. 19.IV 1972 r. Kierownictwo uczelni otrzymało dn. 10.VII.1973.

Ta pismna wypowiedź rektora Artymowskiego, jedyną jaką udało mi się uzyskać wobec jego urlopu, stanowi zarazem papierak lakmusem rzeczywistych intencji i motywów kierownictwa uczelni zarówno w stosunku do zwolnionych, często z naruszeniem przepisów prawa pracowników, jak też związków zawodowych, których nie chce uznać za partnera. Czy bowiem w przednimy razie osłaniało by się argumentem likwidacji niektórych pracowni, które jak wiemy zmieniły tylko nazwę stając się grupami dydaktycznymi przy niezmiennym liczbie kadry? Ale jeszcze niebezpieczniej przedstawia się argument stopnia przydatności pracowników w uczelni, co miało stwierdzić uczelniana Komisja ds. Wdrażania Programu. A jeśli tak, to wartoby się dowiedzieć jakie

trzeba postępowanie komisji określić, spadły na ludzi przez wiele lat w szkole pracujących i sprawdzonych. Staż pracy w Szkole Marii Horbaczewskiej chociażby jej ofiarność, sukcesy zawodowe i artystyczne, a także nieklamane uznanie jakim cieszy się wśród studentów i w artystycznych środowiskach Łodzi wskazywały raczej na to, że PWSSP umożliwi jej w najbliższym czasie przeprowadzenie prze-wodu na docenta. Wybitnym fachowcem jest także Zofia Litak, co potwierdzają jej zawodowe sukcesy jako artystki-tekstury. Sprawdzonym adiunktem była także Jadwiga Głowacka, jedna z listy pracowników, którym wypowiedziano pracę.

Złosiłwi twierdzą, że Komisja wiedziała, co robi. Wszak niektórzy zwolnieni pracownicy byli w przededniu awansu na docentów, a docenta może odwołać tylko minister. Postępowanie kierownictwa uczelni jest tym dziwniejsze, że nie znajduje się na zawołanie ofiarnych pedagogów.

Ma chyba rację dziekan Jaśkiewicz, gdy twierdzi, że nowe treści wymagają zrozumienia, przyjęcia je za własne. I że jest to proces długofalowy.

Ale tej rozsądnej opinii przeczy sytuacja, jaka wytworzyła się na uczelni. Me-

protestów opinii publicznej budzi standaryzowane, koszarowe budownictwo mieszkaniowe, gdy domagamy się obecności plastyki w nowych osiedlach. Chyba nie poprzez likwidację (notabene drogą listownego powiadomienia) dziekana, bez konsultacji i dyskusji, użytecznej pracowni, pracowni rozwojowej (gdy na Politechnice Łódzkiej powołuje się Wydział Architektury) może być realizowany postulat związania sztuki z nauką i życiem.

Postęp jest niewątpliwie instytucją kosztowną, choć rentującą w przyszłości. Ale postępu nie można realizować ani wbrew prawu, ani tym bardziej z pominięciem elementarnych zasad ludzkich. Niepokój w PWSSP nie jest niestety twórczym niepokojem, który inspirował prawdziwie wielkie realizacje. A w takiej atmosferze mamy obowiązkiem powątpiewać, czy reforma przyniesie spodziewane korzyści społeczne w przyszłości.

KONRAD FREIDLICH

SMUGA ŻALU ZA IDOLKĄ

Wszystko zaczyna się od okładki, czarnej jak noc, na której „I kłamstwo” jest pełne zielonej nadziei. „Zabija” zaś w tonie ciemnego różu, więc nie takie okrutne. Między nimi widać jakby lejący nabój małokalibrowy (pociągający łącznie z łuską), który mierzy w tarczę wypełnioną popielatą twarzą kobiety o tragicznych oczach. Srebrny kluczyk, sygnet „Iskier” jest biały, tak samo niewinne litery tworzące nazwisko „W. Falkowska”. Tak więc znamy firmę wydawniczą, tytuł dzieła i nazwisko autora.

Bardzo lubie panią Wandę Falkowską za jej reportaże sadowe, chociaż wyżej cenię Barbare Seidler, sądziłem przeto, że mam w ręku zbiór reportaży, ale sympatyczny sprzedawca księgarni w Pałacu Uśmiechnął się i powiedział, że jest to autentyczna powieść kryminalna znanej reportażystki.

Kupiłem, przeczytałem i dzieło się wrażeń. Powieść pt. „I kłamstwo zabija” zawarta jest na 188 stronach w 35 drobnych rozdziałach, ale za to w 80-tyśmiennym nakładzie! Już w pierwszym rozdziale dowiadujemy się, że znana pieś-

niarka, Paula Piano (panieńskie i właściwe nazwisko — Pelagia Kuć) jest „wzbową szczipką, od stóp do głów spowita w polyskująca biel”; podczas jej występów gościom od uderzeń czerwienienia nie tylko rece, ale i pełne, wygolone twarze, lecz pieśniarka „broniła się wścieknie, potrasając czarną grzywką, aż nagle ustąpiła”, potem zaśpiewała i zeszła ze sceny „lekka, zwiędła, pozostawiając za sobą smugę żalu”.

Ta piękna, młoda kobieta, bardzo zdolna zresztą, ginie zaraz w pierwszym rozdziale, kiedy otoczona tłumem,

opuszcza teatr. Strzał prosto w serce, taki „suchy trzask, podobny do tych, jakie zazwyczaj wydają aparaty fotograficzne”. Pieśniarka zachwiała się i „runęła na płycie chodnika”. Potem tłum „zaszmukał, skłębził się i skotłował”, blisko stojący zaś rzucił się ku „postaci kobiecej skulonej na asfalcie”. Lecz ona „leżała u ich stóp, nieruchoma, głucha na wołania, z twarzą szarą w świetle ulicznej latarni”.

I teraz się zaczyna. Przez 33 rozdziały milicja prowadzi nudne badania socjologiczne, z których nie wynika, dopiero w przedostatnim rozdziale, przypadkowo zresztą, zbrodniarz zostaje ujęty. Jest nim niejaki Krochmal, który zakochał się w sobowtórze Pauli Piano. Sobowtór udawał, że jest Piano, potem żonatego i dzieciatego Krochmalskiego zrobił w konia, więc Krochmalu ukatrupił Paulę Piano, przy czym sobowtór, czyli Julia Galka, też byżniewa z jego ręki, ale w porę nadszedł porucznik Olski, bo kochał się w Julii, gdyż zerwał ze swoją Krystyną. Na końcu jednak Krystyna wraca do Olskiego i jest fajnie.

Milicjanci więc stracili dużo czasu, ale zbrodniarza ujęli. Nic dziwnego, gdyż by-

li to sprytni milicjanci, do-brze prezentujący się w cywilnych ubraniach. „Na półpietrze mineli dwóch dziarskich cywilów ómiących papierosy” str. 17. Są też kulturalni, kapitan nie wyrwa książki podejrzanemu aktorowi: „panowie bez słowa chwilkę się mocowali, aż tom znów upadł na dywan”. Ale nie to jest ważne. Istotne jest obnażenie przez Wandę Falkowską kulis życia wyższych sfer stolicy i opis kariery Pauli Piano, czyli Pelagii Kuć. Jest to wychowana w nędzy dziewczyna ze wsi pod Myślenicami, która przypadkowo odkrywa reżyser Ankiwicz i robi z niej gwiazdę, ale Piano czyli Kuć Pelagia jest nieszcześliwa. Bo koleżanki szyczą z niej, gdy w restauracji wyciera w obrus zgrzana twarz. „Je mięso rekami”, a prezenterka telewizyjna pyta ją, czy to prawda, że w dzieciństwie pasła krowy, i czy potrafi je doić.

Aby pozbyć się kompleksów Piano szasta pieniędzmi, a w ciągu trzydziestoletniego pobytu w Warszawie zdobywa iście bajeczne sumy. Kupuje więc po 20 par butów miesięcznie, które potem rozdaje lub wyrzuca; nabywa białe futro z nubi i każe farbować na fioletowo, a

odstawionemu kochankowi, aktorowi Murkowskiemu pożyczka 180 tysięcy! Murkowski po jej śmierci, na widok milicjantów trzepocze „przykrótkimi jakby rekami”, z jego piersi wyrwają się szloch, mowę utrudnia mu nerwowe łkanie, po czym udaje zawałowca, żeby nie oddać forsy.

Aby zwiększyć krag podejrzanych, Flakowska każe przetrząść Pelagii Kuć chłopów na kopy. Ostatnia jej ofiara jest sam przedstawiciel na Polskie Międzynarodowego Komitetu Ochrony Naturalnego Środowiska Człowieka. Przedstawiciel jednak (prof. Black) boi się żony, w której żyłach płynie krew katalońska. Innym kochankiem Piano był rektor Kurman, wielki dziwnak, który w chwili refleksji pomyślał, że nadeszła kolejna pora na zmianę damy serca, poszedł więc do Piano i „wziął ją po raz pierwszy w ramiona”. Natomiast redaktor Misa Bui-nowicz nie jest kochankiem Piano i nie bije, ale za to chodził po Warszawie i rzucił słowami w woźnych, dozorczych i innych, aby zdobyć potrzebne informacje do artykułu, Jan Gontal gotów z niego wziąć przykład. I powinieli! Chyba, że szef się nie zgodzi...

Wprowadzie milicjanci nazywają Paulę Piano Idolką, lecz są od niej lepsze. Taka choćby Iga Amur, czy zawistna Beata Kalska. Ona jest najcenniejsza. Kochanek Mariusz dale tego dowody, trzymając „ja pod rękę jak klejnot, który można zabić w tłumie”. Kalska plotkuje i steruje po kawiarniach. „Posterowała w tamtym kierunku”, str. 25.

Jak widać, powieść kryminalna Falkowskiej, w której tak mało się dzieje, daje jednak obraz środowiska, ukazuje trud pracy aktorów i dziennikarzy i jest wielkim morałem i ostrzeżeniem, że w Polsce człowiek z ludu nie może się wybić z idola, bo zostanie ukatrupiony. Wydaje mi się jednak, że inspiracją do napisania tej książki było dziełko miejsce Falkowskiej na liście najpoczytniejszych autorów w „Polityce” oraz ludzka chęć dorobienia sobie. Okazuje się wszakże, że zrecenzję jest zamknąć w formie reportażu historii ludzkiego życia, oparta na faktach, choćby wziętych z akt sądowych, niż wydumać kryminalną balladę. Po niej bowiem smuga żalu wije się za idolką...

JAN GONTAL

Dalszy ciąg ze str. 1

pażurami uprawa, wyzyskany każdy skrawek ziemi; zaledwie 5 procent gruntów ornych jest niewyzyskanych. A przecież nie karmi ta rozszarpana, postrzępiona ziemia mieszkających na niej ludzi. Na terenie Centralnego Okręgu jest zbędnych 418 tysięcy głów. Mogą sobie iść. Ale gdzie iść?

Tak oto wygina się środek „mocarstwowej Polski”.

„Mocarstwowa Polska” rozpadła się we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. W 1944, 16 sierpnia w Rzeszowie na ratuszu, odbyło się pierwsze posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej. W rok później zostało powołane województwo rzeszowskie jako samodzielna jednostka administracyjna,

choć układają się w końcu w pewien mozaikowy obraz dalszej i bliższej przyszłości tego regionu.

Oto na przykład jest na Rzeszowszczyźnie mnóstwo, a dokładnie 262 zabytki budownictwa cerkiewnego, będącego kompilacją wpływów polskich, bułgarskich i południowoserbów. Z tego w 24 mieszczą się magazyny, a 57 jest zupełnie nie wykorzystanych i niezabezpieczonych. W związku z tymi cerkiewkami ulągł się swego czasu w czyjeś głowie pomysł zgłosił koszmarny, aby owe cerkiewki zebrać i ustawić ciurkiem wzdłuż obwodnicy bieszczadzkiej. Niech sobie podziwiają z okien samochodów. Nie zawsze cel uświęca środki. Pomysł ludzkie rozsądną jakoś na szczęście zadusił w zarodku.

Niedawno (m.in. w „Po-

ture” dewastuje, że ktoś odnośnie jakiegos jeziora czy skrawka puszczy ma zdegenerowane pomysły:

„Myśląc o przyszłości Bieszczad, należy trochę inaczej spojrzeć na sprawy inwestycyjne. Uważam, że już niedługo może okazać się, że nieinwestowanie będzie najlepszą inwestycją, że nie wybetonowanie ostatniego już chyba skrawka Polski, ale pozostawienie go w stanie najbardziej zbliżonym do naturalnego będzie decyzją najslusniejszą”.

Jacek Mazur, Warszawa

I jeszcze jeden cytat z listu Adama Matejko z Miawy:

„W imię niezaprzeczalnie słusznych i wzniosłych racji polityki społecznej proponuję mi się zrezygnować z prawdziwego wypoczynku, jaki mi daje wódczka po jeszcze nie zepsutych cywilizacją Bieszczadach i zastąpienie go przez korzystanie z usług w domu wczasowym. Bo taki będzie w końcu rezultat przedstawionych wniosków. Nie-



San koło Myczkowic — całe wieki rzeźbiły w twardym piaskowcu.

ZBLIŻYĆ — ALE NIE ZNISZCZYĆ

Ziemia pograniczna weszła w nowy etap swojej bogatej historii.

Na początku nowej drogi nie było róż ani fanfar. Była krew Kainowa. Była determinacja Maćków Chełmicz, nienawistę ukraińskich faszystów, dzielność i oddanie ludzi, którzy chcieli iść naprzód właśnie nową drogą. Wielu z nich żyje w kłosach zbóż, szumiących na rzeszowskich polach.

Czas, który mija, zwykle łagodzi ból, zaciera kontury zdarzeń. Tu jest jednak inaczej. Włóczęgę się po Bieszczadach, nie wstępując obwodnicy, a po górach i lasach, wciąż natykam się na „pamiętki” z tamtych lat. Są tu obecne, jak obecne są w pamięci tych, co przeżyli obrazy z tamtych dni. Ale nie będzie to takim truizmem gdy powiem, że na tej ziemi rośnie nowe i że tu widać to wyraźniej niż gdzie indziej. W Jarosławiu, na przykład, w nowych, najnowocześniejszych w Polsce Zakładach Przemysłu Dzielnarstwa „Jarlan” średnia wieku prawie 2-tyśletniej załogi wynosi 20—21 lat. Ci młodzi ludzie urodzili się już po. To dla nich między innymi stawia się na ziemi rzeszowskiej pomniki pamięci o tamtych ludziach i tamtych czasach.

Autobusami, okazjami przemierzam Rzeszowszczyznę z północy na południe. Słoneczny sierpień sprzyja mojej włóczędze. I z satysfakcją muszę przyznać, że nad wyraz urodziwa jest ta kraina — a że uczulony już jestem na pewne aspekty rzeczywistości — tedy przypatruję się jej pilnie, cieszę się nią, ale jednocześnie „harmonie i rytm” psuje mi natrętne pytanie: co z tymi lasami, rzekami, starymi murami będzie za lat 10, 20, 50? Czy wody Sanu, Wisłoki, Jasiółki, Lubaczówki, Tan i będą jeszcze czyste i rybne? Czy rozkładając się biwakiem pod Tarnicą będę jeszcze musiał palić małe ognisko w nocy, aby mi nieświdzieć do namiotu nie wlaży?

Jest plan zagospodarowania Rzeszowszczyzny, a zwł. szcza jej południowych i południowo-wschodnich rejonów pod kątem krajobrazu i turystyki, z uwzględnieniem ochrony zabytków i środowiska naturalnego. I jest też ambitny plan inwestycyjny dla przemysłu i rolnictwa, powiązany ponoc ścisłe z poprzednim. Nie miałem okazji zapoznać się bliżej z tymi planami, ale chcę wierzyć, że są to zamierzenia mądre, celowe i dalekowzroczne. Ewentualne wątpliwości moje rodzą się nie z właściwego naturze mój sceptycyzmu, lecz z lektury artykułów, z usłyszanych dyskusji i opinii. A

liłyce” i w „Studencie”) toczyła się dyskusja, co zrobić z ostatnią, białą plamą na mapie polskiego krajobrazu — to znaczy, czy Bieszczady zalać całe asfaltem i betonem, czy tylko zabetonować i wyasfaltować ich część, a jeśli część, to którą: górną czy dolną. Postuluje się stworzenie z terenu Bieszczad „poletka do wycieczek”. Miałoby się tam eksperymentować różne formy wypoczynkowe w połączeniu z różnymi formami wypoczynkowego zagospodarowania krajobrazu. Byłoby to eksperyment bolesny dla Bieszczad i nieodwracalny w skutkach, gdyby dzięki czyjejś chorej wyobraźni doszedł do skutku. Tak, jakby nie można było i nie należało wyciągać wniosków z doświadczeń dotychczasowych z innych regionów Polski. Wyciąganie wniosków nie jest jednak cechą naszego polskiego charakteru. Nie jestem w swych obawach odosobniony. Oto cytat z listu Krzysztofa Otaszewskiego z Komanicy, drukowany w numerze 30 „Polityki” (z dnia 28.7.73 r.), we wspomnianej sprawie: „W Bieszczadach dopiero będzie przyleganie, kiedy przyjedzie tam 5 milionów ludzi, wszystko się wvasfaltuje, kombinaty drzewne będą szły pełną parą a komputery dokładnie wyliczą ilu wczasowiczów przypadnie na metr kwadratowy górskiej powierzchni. I wtedy Bieszczady będą „pięknym poletkiem do świadczalnym powoj. dyplomacji i sprawnej polityki społecznej”.

Przytoczę fragment innego listu w tej samej kwestii z tegoż numeru „Polityki”:

„Właściwie jedyną oficjalnie popieraną formą wypoczynku Polaków jest spędzanie turnusu w domu wczasowym. Jest przecież tyle innych, godnych upowszechnienia form spędzania urlopu — wczasów wędrownych, wczasów w siodle, spływów kajakowych, rejsów żeglarskich, wspinaczki wysokogórskiej, obozy narciarskie, wędkarskie, myśliwskie itp., itd. Wszystkie te formy są lepsze od tradycyjnych wczasów, bo zapewniają czynny wypoczynek w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, a dodatkowo rozwijają zainteresowania, które z czasem mogą stać się stałą pasją ich uczestników. I tu dochodzimy do watku — jak powinny wyglądać Bieszczady w przyszłości. Wiadomo, że Bieszczady są ostatnią białą plamą i trzeba być diabelnie krótkowzrocznym i pozbawionym wyobraźni, żeby taki skarb zaprzepaszczać. Już nasze dzieci, a tym bardziej wnuki zmęczone cywilizacją, stęsknione za nieskażoną naturą, przeklinają naszą lekomyślność”.

Marek Borczowski, Kraków

I jeszcze jeden list, żeby ktoś nie zarzucił mi, że się co rusz rozczulam nad każdą zatrutą rzeczką, że marnie kwile o tym, że coś nam niszczy, że ktoś na-

prawdą bowiem jest, że pozastrajając nienaruszone Bieszczady południe, a eksperymentując na rubieżach, uratujemy piękno tej krainy przed zagładą. Jeśli możemy mówić o Tatrach, że jeszcze mimo wszystko stoją, to nie jest to zasługa ludzi o pokroju reprezentowanym przez spółkę autorską, planującą zbliżyć Bieszczady całej Polsce. Park Ojcowski, mimo, iż od dawna jest parkiem narodowym, przez zbliżenie go masowej turystyce z godziny na godzinę traci swoje przyrodnicze walory. Przykłady można mnożyć niemal w nieskończoność. Niech ich nie powiększa casus Bieszczad.”

Przyznam się, że po zacytowaniu powyższych fragmentów poczułem się trochę lepiej. Zawsze to w środowisku różnieli. Zatem, jak wołał by Zagłoba: kupa, panowie, kupa — w obronie Bieszczad!

Abym do końca wyjaśnił, dlaczego Rzeszowszczyzna, a zwłaszcza jej południowo-wschodni rejon są tak cenne, tak atrakcyjne pod względem turystyczno-wypoczynkowym, dlaczego należy je chronić i strzec, pozwolę na krótko ich charakterystycę:

— różnorodny krajobraz nizinny, podgórski i górski, ciągnący się od doliny Sanu i Wisły, przez Roztocze, po nieskażony jeszcze („niezagospodarowany”) teren Bieszczad południowych z wysokimi szczytami i malowniczymi dolinami rzek: Sanu, Wisłoka, Oslawy, Jasiółki, Ropy

— duży stopień zalesienia (resztki Puszczy Sandomierskiej i resztki Puszczy Bukowej), dochodzący w rejonach górskich do 55 procent

— czyste wody, „morze bieszczadzkie” Solina—Myczkowice o powierzchni 24 km kw. i czyste (na razie) powietrze

— 631 źródeł i odwiertów wód mineralnych: solanki, szczaw, wody siarczkowe

— znakomite warunki śniegowe, klimat łagodny na północy, na południu podgórski i górski

— niezniszczona jeszcze całkowicie fauna i flora, 27 rezerwatów przyrody, 508 zabytków przyrody.

Do tego dodać należy:

— rozrzucone po całej Rzeszowszczyźnie stare miasta i grody historyczne (Biecz, Debowiec, Jarosław, Krosno, Mrzygłód, Przemysł)

— liczne zabytki architektury i urbanistyki (2146 obiektów, z tego 334 w grupach „O”, I i II): Baranów, Łańcut, Krasieczyn, Narol, Przecław, Sieniawa, Przemysł, Jarosław...

Chyba wystarczy. Praktycznie więc Rzeszowszczyzna jest terenem, na którym uprawiać można wszystkie rodzaje turystyki i wypoczynku. Jest także terenem, na którym uczyć się można historii.

W wydanej przez PWN książce „Rzeszowskie” czytamy: „Przyjmując uproszczony podział, można by wydzielić trzy rejonu dla kompleksowego zagospodarowania turystyczno-wypoczynkowego:

1. północny — od Baranowa Sandomierskiego na zachodzie po Horyniec na wschodzie, z obszarami dawnej Puszczy Sandomierskiej w widłach rzek Dolnej Wisłoki, Wisły, i Dolnego Sanu oraz z Roztoczem nad Tanwią i Lubaczówką;

2. środkowy — od Pilzna po Przemysł, z pasmem mniejszych i większych wzgórz, Podgórzem Ciekówkowskim i Dynowskim;

3. południowy — najatrakcyjniejszy rejon, obejmujący Beskid Niski i położony w granicach województwa fragment Bieszczadów

górskich województwa rzeszowskiego do 1985 roku określony został całokształt zasobów przyrody jako „trwałe dobro narodowe, które powinno służyć dla rekreacji oraz regeneracji sił człowieka”. Ma to na celu podniesienie walorów krajobrazowych i turystycznych regionu rzeszowskiego w skali ponadregionalnej i ponadkrajowej. Gdyby tu błogosławieństwa mogły pomóc...

Jak więc wygląda w tym kontekście rzeczywistość, aktualna ochrona owych rezerwatów? Istnieje wspomniane 27 rezerwatów. Zarejestrowanych jest 300 parków podworskich, z tego 60 ma charakter wybitnie zabytkowy — jak jest w tej chwili z ich ochroną, nie miałem okazji naocznie się przekonać. Władze centralne i wojewódzkie w cytowa-

Uchwały uchwałami. Gdyby wszystko szło z górki, byłoby bardzo pięknie. W rejonach Kolbuszowej, Łańciska, Przemysła prowadzona była do niedawna (a bodaj czy nadal nie jest) rabunkowa eksploatacja kruszywa naturalnego z koryt rzek, a także kruszywa ładowego i płasku. Prowadzona jest nadal rabunkowa gospodarka w kamieniołomach. Wyraźnie widoczne są skutki kopalnictwa odkrywkowego i podziemnego wytopiania siarki (okolice Tarnobrzega). Inwestorzy wciąż jeszcze zajmują zbyt duże obszary pod budowę zakładów przemysłowych. O konserwacji zabytków nie będzie tu wspominał. To tylko kilka przykładów najbardziej rzucających się w oczy.



Krajobraz rzeszowski, wieś Łosie (pow. Gorlice).

dów; w tym rejonie można wyodrębnić około dziesięciu pasm o specjalnie wysokich wartościach dla organizacji wszelkich form urządzeń służących odnowie sił człowieka (decyzjiwa balneologiczno-klimatycznego, wypoczynku, wczasów, turystyki kwalifikowanej i sportu).

Dodam jeszcze, że w uchwale nr 35/69 Rady Ministrów z dnia 28.I.1969 roku odnośnie zatwierdzenia podstawowych elementów zagospodarowania terenów

nej uchwale zostały zobowiązane do:

— utworzenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego

— utworzenia Wschodniobieszczadzkiego Obszaru Chronionego Krajobrazu

— tworzenie dalszych ścieżek i częściowych rezerwatów przyrody

— do ochrony środowiska wodnego i powietrza

— do wytyczenia specjalnie chronionych obszarów dla potrzeb zagospodarowania turystycznego.

Czas pokaże, jak będzie wyglądało w praktyce owo zbliżenie uroków ziemi rzeszowskiej do Polski. Ale myślmy o tym, że te uroki to nasza wspólna własność, nasze wspólne dobro. Nie pozwólmy „eksperymentatorom” na ich zniszczenie, bo polski krajobraz bardzo nam się przez to zuboży.

ANDRZEJ GRUN

POLUBIĆ WŁASNĄ BUDE

Dalszy ciąg ze str. 1

żał, że się idzie do innej szkoły.

Zanim zobaczyłam niektóre twarze autorów tych wypowiedzi, wysłuchanych wcześniej z taśm magnetofonowej mocno utkwiło mi w pamięci słowo teraz. Użyli go niemal wszyscy uczestnicy szkolnej roboty nadarady na której nauczyciel siedział z boku i co najwyżej zadawał pytania, radził, naprowadzał nie pouczając. Może nawet się zżymał w tym i innym momencie, ale wysłuchał do końca, rozumiejąc, że słowo teraz dzieli życie szkolne na etapy. Na to, co było przed marcem 73 roku i na to co jest dziś. Lepsze, gorzej? — Po prostu inne.

To było zimą 1971 roku. Woźni, jak dziś pamiętam — wspomina mgr K. Słowińska dyrektorka 17 Szkoły Podstawowej im. B. Prusa — przyniosła poranną pocztę. Obok zwykłego stosu pism, w kopercie były jeszcze dwie cieniutkie książeczki. Z okładki każdej spoglądał na nas chłopak. Spokojnie, z uśmiechem, jakbyśmy zapalone do psich fieli. Wiedzieliśmy już coś więcej o prowadzonych w Poznaniu pracach eksperymentalnych doc. dr. Heliodora Muszyńskiego. Teraz nadchodziła się okazja poznać je bliżej.

Polechałam do Poznania. To były zupełnie inne szkoły. Nie same budynki, oczywiście. Ale dzieci, nauczyciele. Tego się nie da opowiedzieć. Nie, nie musieliśmy się czuć gorzej. Czuliśmy się tylko inni. Po prostu klimat, nastrój tamtych szkół był swobodniejszy, bardziej rodzinny i dzieci były jakby szczęśliwsze...

Przecież jednak i z lekturą coś zostało. W drodze powrotnej uparcie wracało to najważniejsze. „Szkoła tradycyjna jest szkołą nauczania pamięciowego. Owe charakterystyczne nie były tak dotkliwie odczuwane, dopóki sam materiał nauczania mieścił się w przyswajalnych dla przeciętnego ucznia granicach. Z

czasem jednak, w miarę jak nieustannie i szybko powiększał się zakres obowiązującego materiału, zaczęły coraz ostrzej występować braki szkoły. Dwa z nich zasługują na szczególną uwagę. Pierwszy to coraz silniejsza dominacja nauczania podającego, czynniacznego ucznia biernym, zaś aktywizującego jedynie nauczyciela. Druga ujemna konsekwencja nauczania pamięciowego jest coraz bardziej zaciężna na obliczu szkoły i z ważnego dla nas tutaj punktu widzenia zasługuje na szczególną uwagę. Błaż na postępującą dezintegrację szkoły. Instytucja ta coraz mniej kształtowała swym oddziaływaniem osobowość ucznia jako całości, natomiast coraz bardziej stawiała się czynnikiem organizującym odrwane i niezależne od siebie kształtowanie poszczególnych fragmentów tej osobowości. (...) Każdą naukę, pracę z uczniem we własnym zakresie (...) będąc inspirowanym zasadniczo przez program nauczania. W ten sposób cała sfera wiedzy ucznia została podzielona na wycinki, za które odpowiadała niezależnie od siebie, nauczyciele specjalności. Współdziałanie jest wręcz przeciwnie, ale błażmniej nie jest koniecznością. (...) Tymczasem cele wychowania i kształcenia są osiągalne tylko przy wysokim poziomie integracji zbiorowych działań”.

— To Muszyński — mówi pani dyrektor — zapamiętały z lektury. A w oczach widok tamtych szkół. Mających swój lokalny system wychowania, mocno tkwiący w realiach środowiska. I dzieci. Nie to, że podobaly nam się kokardy, plakietki, kolorowe fartuchów różniące poszczególne grupy wiekowe lub wyróżniające grupowych. Tylko ich swoboda, partnerstwo, współdziałanie z wychowawcą. Imponowały ich pomysły, samodzielność, praca, w której wykonaniu nauczyciel przestał być szefem ze złych snów, dyktującym temat lekcji i burzącym wówczas gdy ewentualnie uczeń ośmielał się myśleć inaczej... Poznańskie szkoły teściły

zyciem i śmiechem dzieci. Przeszły być placówkami, do których przychodził się z konieczności. Były „kochanymi, starymi budami”. Kiedy sobie uświadomiłam, że takiego określenia nie słyszałam od lat od naszych wychowanków, nie było mi wcale przyjemnie.

Więc po powrocie do Łodzi rozmowy z moją Radą Pedagogiczną i decyzja.

17 Szkoła Podstawowa przy ul. Limanowskiego 124 a, mieści się w starym, dwukondygnacyjnym budynku. Parter zajmuje przedszkole. Na piętrze są klasy i pracownia. 450 dzieci przychodzi codziennie do szkoły i rozsypane się po korytarzach. Tylko 156 uczniów mieszka w nowych blokach. 319 rodzin robotniczych 23 inteligentów. Bardzo liczne rodziny wielodzietne. Dla 70 dzieci bezpłatne mleko w szkole, dla 100 obiadów w szkolnej stołówce. Więcej nie wytrzymuje ciałuśka kuchnia. Szkolny pedagog mgr Bożena Falak stale zabiega o zapomogi dla dzieci. Ormowcy działacze FJN, sami nauczyciele często trafiali do domów rodzinnych. Bywa, że trzeba wyrwać z nich dziecko, bo zbyt często przechodzi do szkoły posiniaczone, z wyraźnymi śladami pobicia.

To są właśnie realia, z którymi musi sobie radzić każdy system wychowawczy. System Heliodora Muszyńskiego ma dodatkowo to do siebie, że nawet najbardziej zażenowane dziecko zachęci do działania. Cała bowiem tajemnica tkwi w tym, że zdejmując on niejako nauczyciela z piedestału, stawia go w równym szeregu z dzieckiem, nakazuje szacunek, przyjaźń, partnerstwo, doradztwo.

Zgodnie z tym systemem dzieci w Szkole 17 podzielono na trzy grupy wiekowe: klasy I—III (opiekun mgr Monika Bogusławska), klasy IV—V (opiekun mgr Henryka Węgierska), klasy VI—VIII (opiekun mgr Maria Duszyńska). Klasy podzielone są na 6-osobowe zespoły. Każda z klas ma własną radę klasową, każdy zespół swego zespołowego (grupowego). Zespoły dobierali się na zasadach dobrowolności wcześniej ukształtowanych wizer koleżeńskich.

To była bodaj najtrudniejsza część pracy szkoły prze-

chodzącej na nowy system. Wymagała od nauczycieli taktu, gruntownego znanomości dzieci, ogromnego wyuczenia i powściągliwości. Trzeba było bowiem respektować zasadę dobrowolności, ale równocześnie tak pokierować doborem, by w zespole zachowana została koedukacja, przynajmniej obojętne lub pozytywne stosunki między dziećmi tworzącymi zespół, wspólnota zainteresowań, zróżnicowanie poziomu umysłowego i społecznej aktywności. Nie można było bowiem dopuścić do tego, by powstały grupy przymusów i samych spólniactw, grupowania społeczników i dzieci biernych. W zespołach przecież toczy się właściwe życie.

One wspólnie decydują o podjęciu określonej pracy, one też — współzawodnicząc ze sobą — rozliczają się z zasług i niepowodzeń. W ten sposób każdy uczeń oceniany jest przez rówieśnika, koleżkę, każdy zespół przez zespołowego, zespoły przez radę klasową, klasy w grupie rówieśniczej, grupy przez szkolny samorząd i opiekunów. To już nie jest fikcja samorządu, lecz faktyczna samorządność.

W szkołach Poznania, ocenie podlegają nie tylko prace w szkole, ale i wyniki nauczania. W Szkole Podstawowej nr 17 — co rozumiałe na etapie wstępnym wdrażaniu systemu — ocenie podlega tylko praca dzieci.

Jakiego rodzaju są te prace? — Porządek, gazetki, jak trzeba przerzucić koks z boiska do piwnicy, opieka nad kwiatami, dekoracje zmieniające się kilkakrotnie razy w roku, wycieczki do miejsc pamięci narodowej, malowanie ławek. Rytm i treść pracy wyznacza tygodniowy apel grup wiekowych, prowadzony samodzielnie przez dzieci. Okresowe hasła dla całej szkoły (ustalane na krótkich naradach grup wiekowych i opiekunów) ukierunkowują pracę całej społeczności szkolnej.

No, hasło „szukamy talentów wśród nas”. Właśnie wówczas uławniły się owe talenty muzyczne, o których mówiono na naradzie (odnotowanej na wstępie), prosić o zakup instrumentów. Szkoła je zakupiła i owi „chłopcy co bardzo lubią muzykę, a nie mają gdzie grać” osiągnęli cel swoich marzeń — instrumenty perkusyjne, gitary, akordeony.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że bez systemu Muszyńskiego nie powstałby w szkole zespół. Inaczej jednak traktuje się sprawę wówczas gdy dziecko zapisuje się do zespołu a inaczej pracuje, wtedy gdy z jego inicjatywy taki zespół powstaje.

Poprzedzamy na tym przykładzie najlepiej chyba ilustrującym subtelność zmian w życiu i atmosferze pracy szkoły w nowym systemie. Takich przykładów są dziesiątki. Drobnutkie działania jednostek, zespołów, grup wiekowych, grup szkolna społeczność. Już nie jest ona skupiona nad pamięciowym, indywidualnym opóźnianiem przedmiotu. Żyje wspólnymi sprawami, łączy się w całość, ustawia poślednicze dzieci w sytuacji wspólnoty celów, wyzwala w nich inicjatywę, doprowadza do działań, które powtarzać będą w innej skali w dorosłym już życiu. Do tego dochodzi symbolika i obrzędowość tradycje zespołów i grup wiekowych. To wszystko łączy, scala cele wychowawcze i dydaktyczne. Dlatego system Muszyńskiego jest jednolitym systemem wychowawczym. Dlatego też nazywa się go nauczaniem wychowującym.

Na początku jest to rzeczywiste „utrudnianie życia”, bo się przywykło do gotowych poleceń nauczyciela, wychowawcy. Teraz trzeba samemu myśleć i samodzielnie pracować. Jeśli jednak pozostać przy określeniu „utrudnianie życia”, to w punkcie wzięcia najtrudniejsze życie ma nauczyciel. Musi on bowiem pozbawić własną rutynę, rozstać się z wieloletnimi nawykami, być wulkanem energii i pomysłów. Dostrzeżać błyskawicznie pomysły wychowanków, tak nimi kierować, by poczuł się w tego towarzystwie, jak w obecności starszego, mądrzejszego przełożonego.

Około 20 szkół łódzkich zdecydowało się na wdrażanie systemu sprawdzanego w Poznaniu, decyzją Ministerstwa Oświaty i Wychowania zatwierdzonego do użycia w całym kraju. Zainteresowanie pracą poznańskich szkół w większych przypadkach było spontaniczne. Kuratorium Okręgu Szkolnego wzięło na siebie obowiązek zorganizowania wycieczki nauczycieli łódzkich do szkół poznań-

skich. Polecało 23 dyrektorów szkół. Raz jeden docent H. Muszyński był w Łodzi, niektórym szkołom — także i 17 — udało się ścignąć do siebie asystentów doc. H. Muszyńskiego.

Podstawowym źródłem wiedzy o systemie są więc Materiały Metodyczne zredagowane przez Instytut Pedagogiki Uniwersytetu Poznańskiego i tamtejsze Kuratorium. Zeszytów tych było 12. Są tylko dwa, a o reszcie jakos nie słychać. Dziesiątkom nauczycieli zdecydowanych na tę trudną pracę, system znany jest więc tylko z lektury i ustnego przekazu tych, którzy byli, widzieli na własne oczy.

Nie tedy dziwnego, że ci pełni zapału ludzie pytają dziś: co dalej?

Etap przygotowań nie może trwać w nieskończoność. Nie można też opierać się wyłącznie na własnym wyczuciu, choćby się było skądinąd geniuszem. Można bowiem wypaczyć naiwistyczną ideę, jeśli nie zrozumiało się jej do końca. System Heliodora Muszyńskiego ma to do siebie, że jest otwarty i na pozór bardzo prosty. Jeśli jednak ktoś zauważył tylko pozory prostoty i pośpiesznie powellił cudze doświadczenia — pozwolił robocie wcześniej czy później.

Dlatego nie dziwile się moim rozmówcom nie tylko ze Szkoły 17, że pytają o wzrost co dalej? Więcej, powiadała tak: — w Poznaniu eksperymentujące szkoły były przez cały czas pod naukową opieką uniwersytetu, na miejscu był sam Muszyński, do którego można było odwołać się w każdej chwili wątpliwości. W Łodzi pozostawiono nas na własnym rozrachunku. Może on się zamienił w rachunek strat nieodwracalnych, jeśli zbyt długo czekać będzie my na pomoc ze strony UL, Kuratorium i Instytutu Kształcenia Nauczycieli.

Nie czekamy na nic więcej niż przyzwolone kontakty z grupą poznańskich nauczycieli i praktyków. Na kontakty pewne (co do terminów), stałe w sensie miejsca i organizacji, gwarantujące przywoła konsultacji i choćby krótkie spojrzenie na to co zrobiliśmy.

Nie są to — jak się wydaje — wygórowane żądania...

HALINA CYWIŃSKA

UWAGA, SZPIEG za ŚCIANĄ!...

Na łamach brukselskiego tygodnika „Pourquoi Pas?” czytamy:

„Nasze kraje są bez wątpienia porażone chorobą zwaną dziś „szpiegomania”. Zarówno instytucje państwowe, jak i przedsiębiorstwa prywatne prześlędają się w dążeniu do objęcia kontroli i szpiegowaniem możliwie najszersze kręgi społeczeństwa. Inaczej mówiąc, na wszystkich sferach życia oddziałuje silna i niebezpieczna podświadomość i policyjnego sposobu myślenia”.

Istotnie, szpiegomania przeniknęła tak głęboko, że w krajach zachodnich nawet fabrykanci zabawek uznali ten nowy „rynek” za nader obiecujący. W Stanach Zjednoczonych takie „zabawki” sprzedaje się po śmiesznie niskich cenach. Za parę dolarów można tam kupić prawdziwy „detektor wykrywania kłamstwa”. Jest to niewielkie, pomysłowo skonstruowane urządzenie na kształt zegara i odzworowana na niej specjalna podziałka. Dzieci odczytują na tarczy, czy odpowiedź ich rodziców są „prawdopodobne”, „zartobliwe” czy wręcz „świadczenie kłamliwie” lub „bezwstydnie kłamliwie”. Innym, niemniej godnym uwagi przyrządem jest lalka „Miss Echo”, z wmontowanym miniaturowym magnetofonem. Niedyskretna „miss” przekazuje dzieciom treść rozmów ich rodziców. Ale jeszcze bardziej udoskonaloną „zabawka” jest „Wielkie ucho” — niezwykle czuły mikrofon o działaniu kierunkowym, pozwalający na podsłuchiwanie rozmów w sąsiedztwie, nawet w domu po

przeciwnej stronie ulicy... Oczywiście wszystko to blednie w porównaniu z niezliczoną ilością miniaturowych urządzeń elektronicznych, którymi posługują się profesjonalści. Wystarczy wymienić zwykły mikrofon w słuchawce telefonu na mikrofon przekątnikowy, a wszystkie rozmowy prowadzone w pokoju zostaną przekazane i zapisane na taśmie magnetycznej w odległości kilku kilometrów. Mnóstwo innych miniaturowych typów mikrofonów przekątnikowych można ukryć w nieoczekiwanych miejscach i przedmiotach: w paczce papierosów, w zapalce, w spinaczach, w kierownicy, w wazonie, w poduszce, w kwiatkach, a nawet w oliwkach podanych do aperitif. Patyczek wetknięty do otwórki może tu służyć za antenę. Słowem wszędzie.

W Szwajcarii, Francji, Anglii, Włoszech, Szwecji, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych, działają oficjalnie, choć koludujące z prawem „zbędne uszy”. Władze państwowe, które ponoszą odpo-

wiedzialność za tego rodzaju praktyki, nawet nie zadają sobie trudu, żeby chociaż podać motywy, które by usprawiedliwiały podobne naruszenie prywatnego życia obywatela.

We Włoszech podczas głośnego skandalu, który wybuchł kilka miesięcy temu z powodu „zbędnych uszu” wyszło na jaw, że tajne mikrofony, pouzywane w całym kraju przez prywatnych detektywów i agentów konkurujących ze sobą firm, są zaledwie maleńką śrubką tego ogromnego mechanizmu podsłuchu, montowanego przez resorty państwowe.

Jak informuje tygodnik „L'Espresso”, włoska służba graniczna oraz straż celna miały własne stacje podsłuchowe mniej więcej w dwunastu wielkich miastach włoskich, jak również za granicą. W Rzymie służba celna zainstalowała obok swego gmachu nową centrum podsłuchu, mając w ten sposób swobodny dostęp do państwowej sieci telefonicznej. W Szwecji, gdzie szczególnie mocno podkreśla się troskę władz o ochronę prywatności życia obywateli, także pracują stacje podsłuchu, z tym tylko, że opracowano dla nich regulamin, który ogranicza podsłuch do określonego czasu.

W konserwatywnej Anglii również nie odczuwa się wstrętu do podsłuchiwania rozmów telefonicznych: wystarcza do tego tylko uprzednie zezwolenie ministerstwa spraw wewnętrznych. Jeśli wierzyć informacjom gazety „Daily Mail”, w ubiegłym roku wspomniane ministerstwo wydało 1250 takich zezwoleń, tylko dla obszaru Wielkiego Londynu.

Szwajcarii, gdzie ochrona prywatnej tajemnicy jest podniesiona do rangi jednej z naj-

ważniejszych norm prawnych, wzburzył niedawno mini-skandal. Opinię publiczną zaszokował fakt, iż policja kantonu zainstalowała swoje tajne mikrofony w pewnym gmachu użyteczności publicznej, w sali w której zazwyczaj odbywają się zebrania lewicowej „Ligi rewolucyjnej marksistów”.

We Francji działająca stacja podsłuchu telefonicznego jest tajemnicą poliszynela. Urząd zwany „międzyministerialną grupą kontrolną”, mieszczący się w Paryżu przy alei Tourville 2 bis i podlegający bezpośrednio kancelarii premiera prowadzi nieustanny podsłuch rozmów telefonicznych. Iu? 1500 w Paryżu i 2 tysiące na prowincji. Tak w każdym razie utrzymują gazety. Jednakże senator Jacques Duclos podaje o wiele większe liczby: od 2 do 3 tysięcy w samym tylko Paryżu.

Amatorzy fotografii, którzy nie śledzą rozwoju techniki optycznej, będą z pewnością zdumieni, dowiadując się do jak nieproporcjonalnie szeroko doskonalono doprowadzając niektóre typy aparatów fotograficznych. Oczywiście fotodotyczy o typy, które nie pojawiają się w sprzedaży. Na przykład niektóre odmiany aparatów „Minoks”, jak również szereg innych, mniejszych od pudełka do zapalaka, wykonują znakomite zdjęcia kartki maszynopisu z odległości stu metrów. Odczytanie tekstu pisma maszynowego na powiększeniu takiego zdjęcia nie nastrocza najmniejszych trudności... Aparaty te posiadają miniaturyzowane teleobiektywy o średnicy papierosa. Rzecz jasna, można je ukrywać na przykład w broszce, medalionie, a nawet w... obcasie damskiego pantofoła. W

pogoni za „miniaturyzacją” nie pozostają też w tyle kamery telewizyjne: zastosowanie transystorów stworzyło nowe perspektywy miniaturyzacji. I tak, na przykład, kilka lat temu w wielkich zakładach samochodowych w Detroit specjaliści wykruli nie tylko mnóstwo tajnych mikrofonów, ale także dziesiątek kamer telewizyjnych, ukrytych w otworach kanałów wentylacyjnych głównej sali biura konstrukcyjnego.

Jednakże wszystkie te aparaty optyczne razem wzięte są niewinna zabawka w porównaniu z urządzeniami, opartymi na działaniu promieniowania ciepła. Kamery filmowe, jak również i inne przyrządy, wychwytyjące promieniowanie podczerwone — zapotrzebowanie na taką technikę rośnie dziś niezwykle szybko — pozwalają utrwać ciepłe promieniowanie ludzkiego ciała lub jakiegokolwiek innego przedmiotu. W ten sposób nawet w zupełnej ciemności można otrzymać zadowalające zdjęcia fotograficzne człowieka, albo, powiedzmy, samochodu.

Niektóre z takich przyrządów są tak dalece czułe, że pozwalają nawet na „spojrzenie” w przeszłość, to znaczy są zdolne do utrwalenia na błonie fotograficznej obecności człowieka, czy np. samochodu, w miejscu, w którym znajdował się on kilka minut przed wykonaniem zdjęcia.

Istnieje niezliczone mnóstwo urządzeń do śledzenia ludzi. Jeśli chodzi o niektóre, to nie wiadomo, czy znajdują się one jeszcze w stadium teoretycznych opracowań, czy też są już stosowane w praktyce. Chodzi tu na przykład o „radio-pigułkę” — przekątnik zmniejszony

do rozmiarów tabletki piramidonu, który pod postacią leku można podać osobie znajdującej się pod obserwacją. Albo jeszcze lepszy sposób: „oznakowanie” inwigilowanego izotopem radioaktywnym...

Na Zachodzie intymne życie ludzi, ich dochoody, stan zdrowia, ich wzajemne stosunki, poglądy, przeszłość itp., itd., wszystko to stanowi cenną informację, która można sprzedać, dobrze zarabiając. Na naszych oczach rozwija się cały „przemysł”, dążący do zawiadnięcia tym dochodowym „rynkiem” o nieograniczonych możliwościach, rynkiem — nazwijmy to tak — zorganizowanej niedyskrecji.

Wprężonego do tej „pracy” cała masa reporterów, informatorów, specjalistów od sondowania opinii publicznej itp., itd. Skóra cierpnie na samą myśl, że ogromna ilość informacji, często zniekształconej i zdobytej nieuczciwą drogą, może zostać zcentralizowana w jakiejś „globalnej” pamięci elektronicznej komputera i oddana na łup prywatnych interesów. Tym bardziej, że obecnie projekty takiego zamierzenia są w pełni realne. Skonstruowano już aparat, który przy pomocy promienia laserowego przekształca informację w serie mikroskopijnych perforacji, na papierowej taśmie. Wystarczy jedna taka taśma o długości 15 kilometrów i szerokości 2 i pół centymetra, żeby zapisać na niej „prywatne sprawy” wszystkich ludzi na naszej planecie. Wystarczy dodać, że w tym układzie „dossier” każdego człowieka obejmowałoby 20 stron maszynopisu...

J. CZECH

Grottger rozmyślał: „Wanda bez mnie spędza tę wiosnę w dyniskim raju...”

Wybrał się do Róży w dzień jej imienin z bukietem białych i różowych róż. Niestety, jej osoba nazbyt przypominała mu to wszystko, co utracił.

— Ależ jestem dziś ukwiecony! — chętnie się Róża wesoło. — Z kraju dostałam mnóstwo listów. A fotografię Wandeczki pokazuje Francuzom, aby wiedzieli, jakie są u nas panny i czym są wobec nich te ich obwieszane paciorkami madmuzele.

Wieczorem młodzi pod opieką starej panny Gorajskiej pojechali do lasu w Vincennes, na wyspę na jeziorze. Wieczór był ciepły, miejsce śliczne, ale Róża daremnie starała się rozruszać Artura.

— Daruj mi, Różo. Chociaż to najmilsza dla mnie okazja, gdy cię widzę, ale po każdych odwiedzinach jest mi stęknienie i samotność w tym nieznośnym Paryżu.

— Cóż ci Paryż winien, kapryśny artysto? Spełniają się twoje nadzieje artystyczne, ukończyłeś swoje dzieło, cieszysz się tu uznaniem.

Ujęła go pod ramię. Artur dzielił się z nią żarliwie wspomnieniami i obecną niezmierną tęsknotą. Róża słuchała w milczeniu i pomyślała: „Jak on ją kocha! Nie mogłaby być nigdy gorzej, prawdziwie, całym sercem kochana!”

Róża dostała list od Matki Dory, która chciała swoim ulubionemu pomóc, a widząc ustawiczne przeszkody radziła, aby Róża podsunęła Arturowi, czy by nie wziął do roboty na razie, zanim sprzeda Wojnę, łatwiej sprzedażnych drzeworytów, co pozwoliłoby mu ożenić się i sprowadzić Wandę do Paryża. Trudno jednak było radzić świetnemu i sławnemu już artyście, aby brał się znów do drzeworytów czy ilustracji, od których zaczął u progu artystycznej kariery. Róża napisała o tym do Wandy, aby ona raczej wyraziła mu radę. „Nasza wspólna dyniska Matka troszczy się o Wami — mądra — i niepokoi!”

Wybrała się na Powszechną Wystawę i spotkała przy obrazach Grottgera sekretarza hrabięgo Działyńskiego, który zwierzył jej, że hrabia ma zamiar zakupić Wojnę. To by rozwiązało wszystkie trudności.

Tymczasem Grottger pisał do Wandy: „...Bardzo mi tęskno za Tobą i tak nieznośnie — że nie piszę dalej, tylko całuję rączkę twoją... Wzór przedziałem się na Wystawie z kilkoma reprezentantami prześwietnej rady miasta Lwowa. Przypominało mi się dziś tak drogie dla mnie, stare Lwowski! Ach, Wandziu droga, Ty nie wiesz o tym, jaka Ty szczęśliwa, że Ty tam sobie mieszkasz. Jakbym ja chętnie przesiedlił się do Paryża — dał za jeden — jeden Lwów!”

Poszukiwanie nowej drogi twórczej zajmowało jego umysł. Ponieważ pomyślał jeszcze nie skrytykował się, nie wyjawiał go, doniósł tylko: „Za kilka dni dojrzej w myśli mojej zamiar, który od dawna już powziąłem. Ma własność pokierowania może całą przyszłością moją!”

— Czy tylko moją? — zastanowił się. — Może całą twórczością malarską, polską i europejską? — Poznał, że staje na nowej drodze.

„Zresztą powiem ci najdroższa Wando, że miarka wytrzymałości mojej i oporu niemiłosiernego, bo czasem najokropniejszej tęsknocie za Tobą, wprawdzie jeszcze się nie przebrała, ale lada chwila przebiegnie. Moja pracownia i moje ciche mieszkanie — zamiast przywodzić mi coraz więcej do siebie, od dnia do dnia smutniejsze mi się stają. Ciebie tu nie ma! Niech Ci przez to nie ubywa na sile wytrzymania mężnie do ostatka. Codziennie ktoś ze znajomych powraca do kraju a ja zawsze jeszcze zostaję!”

Siedział codziennie do Ogrodu Luksemburskiego. Przejmował go zachwyt nad słońcem i barwami. Chłonił w oczy zieleni szaleństwa wchodzących drzew, bujnych trawników, wielobarwność rabatów kwietnych. „Widział go gorączka tworzenia. Spalał się w niej. Czuł niespożyte siły i pracował bez ychnienia.

Namalaował przedwiośni obraz, jakby w starożytnym stylu flamandzkim, ale w nowoczesnym ujęciu. Nazwał go „Kąpiel”. Zakątek rzeki w głębokim cieniu nad tym stromą ścianą wzdłuż, w górę gęstwinę grup drzew i szeroki krajobraz. Z rzeki po kąpieli wychodzi naga kobieta, służebna czeka na nią z okryciem. Na nagie ciało młodej kobiety pada promień słońca.

„Nieodparcie narzuca mi się myśl powrotu do barwy — rozmyślał. — Otwiera się przede mną nowa era malarska”. Zrobił głowę Wasilewskiego w naturalnej wielkości. Potem olejny autoportret.

Ciepłe tło, załamujące się światło jak u Rembrandta — powiedział Eustachy. Karol za to narzekał zaafierowany: — Tylko, że zbyt poważnie na nim wyglądasz. Nic nie przeniknęło do autoportretu paryskiego z twojego złotego humoru. Artur uśmiechnął się trochę smutno.

Marceli orzekł, że doskonale malowane, ale skierował niepewny wzrok na przyjaciół. Z portretu, z ciemnego tła wyłoniła się wyraziście twarz o bolesnym wyrazie. Szerokie, wypukłe czoło, włos czarny, twarz szczupła, wąska czarna wąsów. Na ramieniu narzucona bluza, jak ongiś polska czamarka. Oczy patrzą spokojnie, przenikająco, a wyrażają bezgraniczną żal i smutek.

Wiedzieli. Wzmagala się w nim tęsknota. Czy zdola tu długo pozostać? Dochodził już do kresu wytrzymałości.

— Jeżeli ktoś zechce przekonać się, jak wyglądałeś w okresie paryskim, w dobie pracy nad Wojną, niech popatrzy na ten autoportret — powiedział Wasilewski.

Marceli podszedł do okna, zerwał jakąś zwiędłą gałązkę krzewu, pomyślał: „Te oczy z portretu patrzą na nas, na kraj cały, jakby w głąb sumienia, z bezmownym wyrzutem...”

Artur był zadowolony pracą. Malował z żarą, gwałtownie, szybko. Złamał się, jeśli ktoś mu przeszkadzał. Ciągłe nowi

goście zabierali mu drogi czas. Stawał się w coraz szerszych kręgach pożądany, podziwiany. List do Wandy kończył pośpiesznie: „Zasiadać do roboty, więc kończę całując paluszeki twoje, moja złoto Pocieszko! A Bógia niech mi Cię strzeże od złego!”

Szkiełował nową kompozycję: Francja i Polska. Dwie klasyczne, półnagie postacie, kobieta szczęśliwa, zasobna, z dzieckiem śpiącym spokojnie w jej ramionach, druga w więzach i utrapieniu, a u jej stóp dwoje dzieci, jedno martwe, a drugie

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

W PARYŻU

głębie wyciągał rączkę ku szczęśliwej kobiecie. Między obu grupami na kolumnie maska Chimery, wykrzywna sarkastycznym śmiechem.

Coraz głębiej wniknął w tematy związane z Francją. Zamyślał ułożyć nową serię obrazów o nazwie: Paryż.

Nie podziwianie, chociaż czuł się dotychczas całkiem zdrowy, doznał fizycznego osłabienia. Ogarnęła go sennosc i mimo nawału pracy kilka godzin popołudniowych pół siedząc pół leżąc przedzierał na kanapie. Nazajutrz było podobnie. Ledwie zdobył się na napisanie listu. „W rozmarzonej imaginacji mojej wielkie światło, bo z powodu chwilowego usposobienia, tym wspaniałej rozgospodarowała się w niej moja śliczna Pani! Wszędzie Wanda — zawsze ona, nigdzie bez niej!”

Na trzeci dzień poczuł się już zdrowy.

— Chwilo — e niedomaganie minęło — osądził Marceli. — To wina z niepełnej aury w Paryżu.

Artur zaprosił przyjaciół na drugie śniadanie a la fourchette. Kazał podać ostrygi z lodu i białe wino.

— Mam na myśli większe studium olejne — zwierzył im się. — Fryne, słynna modelkę i kochankę Praksytelesa, przed której nagość lud pochylał się z zachwytem.

— Fryne była bogata i kapryśna, a kto do tej greckiej hetyery będzie modelem? — zapytał Karol.

— Miła paryska dziewczyna. — Odpowiedział, że poznał jedną dziewczynę, która zgodziła się mu pozować. — Ładna i dobrze zbudowana, a co najważniejsze, nie zawodowa modelka, więc będzie miała więcej naturalności. Zrobię ją w plenerze, w pełnym świetle. Czy tylko przyjdzie? Suzanne ma na imię.

Zerwał się. — Wyskoczę zakupić odpowiednie płótno. — Zapłacił za śniadanie i pożegnał przyjaciół. Chciał już wsiąść do omnibusu, gdy zobaczył starego człowieka, który z trudem ciągnął wózek ulicą. Właśnie zatrzymał się, zsunął z ramienia taśmę, ocierając krwawą chustką pot z czoła. Artur poznał po rysach twarzy, że to Polak.

— Chyba rodak, co? — zagadnął go po polsku.

W zmęczonych oczach tragarza błysnęło uradowanie.

— To i pan Polak? Przyjemnie spotkać swojego — mówił chropowatym głosem.

— Dawno już jesteście w Paryżu, pocztowy człowieku?

— Wiadomo, po powstaniu.

— Ach, tak? — Pomyślał: „I to jeden z walczących. Nie jest jeszcze tak stary, jak zmęczony”. Uczyniło mu się jakoś ciepło na sercu. Wdał się z dawnym wojakim w rozmowę.

— A no było tak, jak to wtedy. Poszedł ja z naszym młodym panem do lasu. Panicz zginął w bitwie, oddział rozproszył się. Pochowałem panicza, nocą podciągnąłem do dworu, odniosłem rodzicom jakieś tam drobniaki, a samemu — co było robić? Pognaliby na Sybir, wolałem przekraść się za kordon, niby na turlaczkę. Tak i tu zaszedłem i zajmuję się do roboty. Ale już i czas na mnie. Żegnajcie, panie!

— Zaczekajcie! Daleko macie?

— Z ciężarem zawsze daleko — dawny powstaniec wymienił ulicę.

Grottger naraz odebrał z jego rąk taśmę i założył na swoje ramię, stając po drugiej stronie dyszla.

— C pan robi? Panie!...

— Ciągniemy, bracie, razem! — odrzekł Artur wesoło. — We dwóch łatwiej nam będzie. Dalej, w drogę!

Kola zaturkotały przez środek ulicy i Grottger zaprzęgnięty do wózka wespół ze starym rodakiem ciągnął ochotczy dyżel, nie zważając na zaciekawione spojrzenia przechodniów.

Suzanne przyszła w oznaczony dzień. Wysoka, ładna, włosy ciemno popielate, puszyste, gładko zaczesane, ubrana w czerwoną suknię. Rozmawiał z nią przez jakiś czas, aby ją oświe-

lić, bo okazywała zaleknienie po przybyciu do samotnego mężczyzny, a eleganckie jego mieszkanie, zdobne kilimami, zgrabnymi mebelkami i nagimi posążkami zwiększało jej onieśmienie.

— Będę cię malował jako kobietę, która dawno temu pozowała rzeźbiarzowi do posagu, a wieść o jej pięknych kształtach doszła aż do naszych czasów.

Dziewczyna zaczerwieniła się słysząc, że ma się pokazać nago mężczyźnie. Zwabiła ją tu chęć zarobku, jak też odczucie zadowolenia, że ten miły, delikatny artysta uznał, że jest tak ładna, aby malował ją w obrazie, w jednym z takich, jakie widywała czasem w niedzielę w Louvrze. Artur opowiadał jej:

— Ludzie przychodzili na brzeg morski, kiedy się kąpała i kłękali zachwyceni, gdy się ukazała naga, wychodząc z wody.

— I nie wstydziła się?

— Nie, bo była piękna, a wtedy czczono powszechnie piękno.

Uśmiechnęła się lekko, chcąc o coś zapytać, może, czy on także ukleknął w zachwycie, gdy ją zobaczył naga, ale nie śmiała tego powiedzieć. Za to stwierdziła, jakby się r...grzeszając: — W Paryżu także wszędzie przy fontannach, przy Operze i różnych gmachach, w Louvrze i w parkach wiele jest posągów nagich kobiet.

— A widzisz!

— Tylko że... to są boginie.

— Każda piękna kobieta jest jak bogini, a dla swojego wybranego zawsze jest boginią.

Gdy weszła do alkowy, którą jej wskazał, aby się rozebrała, pomyślał: „To wystąpienie bardziej ją może przejmie niż perspektywa spędzenia wspólnej nocy z kochankiem”. Przygotował farby, zawiesił zielony brokat jako tło i wyszukał czerwony materiał, podobny w kolorze do jej sukni. Nie ukazywała się długo, więc uchylił zasłony.

— Chodź, Suzanne, nie ci się nie stanie! — ujął ją za rękę, bo stała obnażona nie mogąc zdecydować się na wejście do pokoju. Podprowadził ją na podwyższenie, udrapował materię wokół stóp, jakby dopiero co zsunęła się z jej ciała.

Ujawszy paletę, patrzył na nią. Dziewczyna stojąc nago w pełnym świetle zawstydziła się, przycisnęła mocno kolana, zmieszana, pochylała głowę i gwałtownie podniosła ramię zakrywając ręką oczy i twarz, na którą wypłynął rumieniec. Drugą rękę zwiesiła wzdłuż biodra, siłą woli powstrzymując ją, aby się nie zasłoniła.

— Zawstydzenie!... — pomyślał Grottger, zachwycony jej naturalnym odruchem. Bardziej niż nagość dorodnej dziewczyny przejęło go piękno jej wstyd.

— Proszę cię, tak, tak pozostań! Nie odejmuj ręki od czoła!

— Bien, m'sieur — odpowiedziała cicho.

Piersi jej poruszały się szybkim oddechem, naprężone mięśnie nie rozluźniały się, taką szkiełował szybko i zatrzymał w wyobraźni.

Młoda paryżanka przyszła ponownie po południu. Chciał przedko skończyć akt. Śmiało rzucał na płótno barwne plamy. Suzanne była zgrabna, rosła, zdrowa, ramiona i biodra szczupłe, pełne piersi, długie zwinęte uda, mocne wiązania kolan. Gest jej wyrażał czystość moralną. Kolor włosów w popielato lilijowym odcieniu. Artur realistycznie ukazał w obrazie jędrność jej ciała, karnację skóry, ciemne zmierzwi nie na łonie. Obraz stał się najlepszym aktem Grottgera.

Marceli wpadłszy na chwilę zwrócił uwagę na odmienność techniki malowania.

— Dawniej kredka oddziaływała na twoje malarstwo, dając przewagę tonu nad barwą. Teraz barwy ożyły, są jasne, pełne. A obraz znowu z serii paryskiej, nie tylko ze względu na autentyczność modelu, ale z powodu realizmu malarzkiego.

— To im się chyba spodoba — uśmiechnął się Artur — bo to mój najbardziej zmysłowy obraz.

— Za pozwoleniem, mój drogi! W odczuwaniu tematu, nawet malując akt kobiecy, bardziej jesteś polski niż francuski.

Zauważył, że Francuzka w obecności drugiego mężczyzny znowu bardziej była zażenowana. Zdumiał się: „Zadziwiająco, że w tym olbrzymim mieście, gnieździe wszelkiej rozpusty, gdzie tak wielu ludzi gotowych jest sprzedać nie tylko cnotę, ale sumienie i honor, znalazła się taka wstydliwa dziewczyna!”

Nazajutrz pozowała mu znowu. Malował z przyjemnością, panując nad barwą, linią i kompozycją. Przez okna wpływało wonne powietrze, a słoneczne promienie przesiewały się przez zasłony. Wino, które pił przy obiedzie, wprowadziło go w miłe oszołomienie.

W ciemnozielonym tle, pełnym połysków, gąszcz włosów. Projektował — za wiszącymi toń morską i niebo. To znowu przyszło mu na myśl, aby dać strumień jako tło i bujny park dworski w Polsce, techną majowa świeżością i całe zdarzenie przeniesić do kraju. Postanowił wreszcie, że tło pozostanie wzburzone, niewyraźne, bez lokalnego koloru, aby nie odcigało uwagi. Tylko ona będzie wyraźna, prawdziwa. Zieloną gesty, z czerwonej sukni zrzuconej pod nogi, wyłoniła się naga dziewczyna. Wierz ręką przytknęła do oczu i tym ślicznym ruchem zakrywała twarz.

„Ukazuje bez ostrości tajemnicę swego ciała i dlatego przejął ją wstyd — rozmyślał. — Przemieniła mi się kompozycja. To nie antyczna piękność, lecz współczesna kobieta, przez to bardziej ludzka. Odtworzył jej wieczną wrażliwość. Tak, to nie Fryne, to Zawstydzenie!”

(Fragment z trylogii grottgerowskiej pt. „Dobry Geniusz”)

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

150-lecie Łodzi przemysłowej łączy się ściśle z osobą twórcy łódzkiego ośrodka przemysłowego — Rajmundem Rembielińskim.

Urodził się w Warszawie, w 1775-tym roku, jako syn sekretarza królewskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego. Początkowo marzył o karierze wojskowej. Uczył się w Szkole Kadetów, w tej samej uczelni, gdzie stawał pierwsze swe kroki w rzemiośle wojskowym Tadeusz Kościuszko. Ukończył ją z wynikiem celującym i uzyskał wkrótce stopień pułkownika. Brał udział w insurekcji kościuszkowskiej. W 1805 r. wraz z garstką kolegów z powstania, zgłosił się do dyspozycji nowych władz utworzonego przez Napoleona Królestwa Warszawskiego. Piastował kolejno stanowiska kilku prefektów, a gdy wybuchła wojna z Austrią, został generalnym intendentem armii ks. Józefa Poniatowskiego.

Jednak nie służba wojskowa, ale działalność ekonomiczno-administracyjna miała mu zapewnić na trwałe uznanie i sławę. Przygotowywał się do tej pracy od dawna. Już będąc w wojsku czas wolny poświęcał czytaniu literatury ekonomicznej i prawnej. Później, kiedy przeszedł na służbę Rządu Królestwa Polskiego, napisał kilka prac z tej dziedziny, jak: „Uwagi nad zasadami o podatku”, „Niekłótność ogólna uwagi nad ekonomią polityczną”, „O miastach”, „O urzędach”, „Rozmyślenia o wynalazkach”. Te teoretyczne rozważania uzupełniał praktyczną pracą w majątku i w fabryce sukna, stanowiącej własność ojca. Wprowadzone przez niego, przejęte z zachodu, nowoczesne metody gospodarowania i wytwarzania tkanin, uczyniły z majątku i fabryki wzorowe zakłady w ówczesnym Królestwie Polskim.

Zajmował się również historią. Parzył się nawet twórczością literacką. Napisał dramat pt. „Hrabina Salisbury”, wystawiony przez Teatr Narodowy w Warszawie w 1804 r.

Miał ludzki, humanitarny stosunek do ludzi, zwłaszcza do chłopów i robotników. Bolesław Limanowski w swej „Historii demokracji polskiej” z uznaniem wyraża się o Rembielińskim, który na posiedzeniu sejmu w 1818 r. wystąpił z protestem przeciwko stosowaniu przez szlachtę kary chłosty dla chłopów.

Był wymagający i nieugięty. Wobec nieposłusznych stosował jak nasroższe represje. Pewnego razu, gdy kazał prostować linię traktu, prowadzącą przez dobra prywatne, a właściciel nie pozwolił robotnikom na wykonanie tej pracy, rozkazał szlachcica aresztować i jak zwykłego przestępcę sprowadzić do urzędu. Podniósł się wtedy gwałtowny krzyk i protest na zachwalstwo urzędnika. W rezultacie Rembieliński utracił stanowisko prefekta czyli starosty plockiego.

Prawdziwa kariera Rembielińskiego zaczyna się dopiero za czasów Królestwa Polskiego. Za sprawą serdecznego przyjaciela z czasów wojen napoleońskich, ministra spraw wewnętrznych Królestwa Tadeusza Mostowskiego, został mianowany wojewodą, czyli, jak wówczas zwano, prezesem Komisji Administracyjnej Województwa Mazowieckiego.

Od tego czasu zaczyna się wieloletnia wytężona praca Rajmunda Rembielińskiego nad uprzemysłowieniem kraju. W czerwcu 1820 r. wybrał się na pierwszą podróż lustracyjną po swoim województwie. 3 lipca był w Łęczycy. Zwiedził szkoły, omówił sprawę murów i bram miejskich, regulacji rzeki Bzury. Pisząc swój obszerny raport z podróży do Łęczycy, kreślił w nim jednocześnie plan utworzenia tutaj wielkiego centrum przemysłu włókienniczego.

Z Łęczycy udał się do Ozorkowa.

„Kolonja Ozorków, należąca do Starzyńskiego — pisał w swym raporcie — zasługuje ze wszelkich miar na uwagę Rządu. Przed 7 laty Starzyński wpadł na myśl szczęśliwą: na kałwalski piasku i błota borem zarosłym, kazał założyć rodzaj miasteczka i osiedlić fabrykantów. Sukno idzie dla wojska, kupuje go już kupiec z Rosji przybyły. Inną część sami fabrykanci do Grodna i Wilna wywożą”.

Z podróży do Ozorkowa i następnego miasteczka — Aleksandrowa, Rembieliński opracował dokładne sprawozdanie, w którym m. in. tak sugeruje Rządowi Królestwa:

„Gdy (fabrykanci) do naszego kraju z majątkiem przybędą, trudną jest dla nich rzecz

RAJMUND REMBIELIŃSKI

— twórca Łodzi przemysłowej

starać się w miastach rządowych o posiadłość (plac budowlany) i w oczekiwaniu na takowe żyć bez grosza i zatrudnienia. To jest właśnie przyczyna, dla której zmuszeni zostają udawać się do miast dziedzicznych, których właściciele udzielają im bez okupu place, pomagają w dostarczaniu materiału do wybudowania domów i pospieszają z wybudowaniem potrzebnych dla fabrykantów foluszy. Ze te wszystkie dobrodziejstwa Rząd w swych miastach, bez zrobienia wielkich ofiar i wydatków, mógłby onym udzielić, nie podpada żadnej wątpliwości”.

Rembieliński w dalszej swej podróży zwiedził Dąbie, Przedeck, Gostynin i Zgierz. Ponieważ w samym środku skupiska tych osiedli leżała Łęczyca, najstarsze i najbardziej rozwinięte centrum regionu, proponował Rządowi Królestwa uczynić ją stolicą okręgu tkackiego. Wokół niej planował utworzenie regionu pięciu miast włókienniczych. Były to: Dąbie, Przedeck, Gostynin, Zgierz i Łódź. Plan ten — jak wiadomo — uległ później poważnej korekturze, na korzyść Łodzi.

Łódź w tym czasie była małym, nie odgrywającym prawie żadnej roli, miasteczkiem. Liczyła zaledwie 787 mieszkańców i 106 drewnianych budynków. Powierzchnia miasteczka wynosiła zaledwie 820 hektarów ziemi ubogiej. Rembieliński zwiedziwszy Łódź, stwierdził z zadowoleniem, iż miasteczko to otoczone zewsząd lasami i bogate w wodę, jest jakby wymarzone miejsce na budowę foluszy, magli i warsztatów tkackich. Po wtóre miasteczko leżało w pobliżu miast już uprzemysłowionych, — takich, jak Ozorków, Aleksandrow, Konstantynów, tuż obok projektowanej wielkiej drogi fabrycznej, wiodącej z Kalisza przez Zduńską Wolę do Warszawy. A więc posiadało wszelkie warunki na zbudowanie tu ośrodka przemysłowego.

Zdanie Rembielińskiego podzielił także ówczesny nami-

śnik Królestwa Józef Zajączek. W wydanym w dniu 30 stycznia 1821 r. dekrete, zgodnie z zaleceniem prezesa Komisji Administracyjnej Województwa Mazowieckiego, Łódź została przemianowana na osadę przemysłową. Uzyskawszy od Rządu pełnomocnictwa, Rembieliński z właściwą sobie energią zabrał się do pracy nad regulacją nowej osady. Wielką pomoc okazał mu w tym przedsięwzięciu specjalnie sprowadzony do Łodzi geometra Filio de Viebig.

„W przytomności mojej — wspominał później Rembieliński — Jeometra wytknął linię, podług której w przyszłości mają być wybudowane domy, a ulice albo rozszerzonymi, albo na nowo w miarę potrzeby rozproszonymi być mają... Te wszystkie linie zaraz zakopanymi słupami oznaczyć raz na zawsze kazaliśmy”.

Pod kierunkiem Rembielińskiego i geometry, robotnicy wбили pale w 4 rogi polanki, po jednej i drugiej stronie traktu. Tu miał powstać rynek Nowego Miasta, dzisiejszy Plac Wolności. Miasto przemysłowe sięgało aż do ulicy Nawrot. Nowy Rynek przecinały trzy ulice: Północna, Średnia (dzisiejsza Nowotki) i Południowa (dzisiejsze ulice Próchnika i Rewolucji 1905 r.). Powstały wtedy ulice: Piotrkowska, Główna, Zarzeńska (dzisiejsza Przybyszewskiego), Długa (dzisiejsza Sienkiewicza), Dzielna (Narutowicza) i inne.

W kilka lat później — w 1825 r. — Rembieliński na terenach położonych nad rzeką Jasiń rozpoczęł budowę nowej osady — Łódka. Na 113 placach budowlanych powstały przedziałnie, tkalnie i bielniki. W lecie tegoż roku osada ta została połączona z Nowym Miastem w jeden wielki organizm przemysłowy. Centrum jego przebiegało głównie wzdłuż traktu piotrkowskiego. Zbudowano tu 10 murowanych domów dla pierwszych tkaczy, przybyłych z zagranicy.

Pierwszym, który osiedlił się w Łodzi, był właściciel dużej

saskiej fabryki bawełnianej w Chemnitz — Chrystian Wendisch. Jego propozycja i warunki odnośnie osiedlania zostały skwapliwie przyjęte przez Rembielińskiego z tej prostej przyczyny, iż w Łodzi w tym czasie nie było ani jednego tkacza. Wendisch zobowiązał się sprowadzić z Niemiec stu tkaczy i zbudować zmechanizowaną przedziałnię bawełny, tkalnię i pończoszarnię. W zamian za to fabrykant otrzymał 87 morgów placu budowlanego wraz z dwoma młynami, dwoma kołami wodnymi oraz zapomogę w sumie 34 tys. i pożyczkę w wysokości 180 tys. złotych. Wendisch wywiązał się ze swoich zobowiązań. Sprowadził 100 tkaczy bawełnianych, zbudował fabrykę i zainstallował w niej maszyny przedziałnicze.

Wielki skok w rozwoju tkactwa w Łodzi nastąpił w 1828 r. W tym czasie bowiem została otwarta granica dla wywozu tkanin z Królestwa Polskiego do Rosji. Odtąd obowiązywało bardzo niskie cło, wynoszące zaledwie jeden procent od wartości eksportowanego artykułu. W tym samym roku przybył do Łodzi inny tkacz Ludwik Gejer. On pierwszy wprowadził kompletne urządzenie mechanicznej przedziałni oraz tkalnię wraz z 50-konną maszyną parową. Od tego czasu zaczyna się szybki rozwój Łodzi jako miasta przemysłowego.

Przez cały ten czas Rajmund Rembieliński otaczał szczególną opieką i troską stworzony przez siebie ośrodek przemysłowy. Czuwał nad bezpieczeństwem miasta, zalecając burmistrzowi „utrzymać moralność i pracowitość między tkaczami i czeladzią zagraniczną, z których niektórzy rozpierzają się, czynią zwady, inni rozpoczynają kłótnie i obrazy, albo doznają od innych pokrzywdzenia, považając się czynić sobie satysfakcję”. W innej instrukcji Rembieliński ogranicza dni i godziny korzystania z synków. Dzięki jego poparciu założone zostało w 1826 r. Towarzystwo Strzeleckie. Dla uśmierzania często wybuchających

epidemii różnych chorób, poleca lekarzom i felczerm stały nadzór nad zdrowiem mieszkańców Łodzi, a — biednym chorym poleca Kasie Miejskiej bezpłatnie wydawać lekarstwa, napoje i potrawy dietetyczne.

Jakie były dalsze losy twórcy Łodzi przemysłowej? Powstanie listopadowe położyło kres jego pracom organizacyjnym. Atakowany przez niechętną mu szlachtę i zrażony do ludzi, na których się zawiódł, wyjechał za granicę. Powrócił do kraju po upadku powstania i objął dawny urząd. Po kilku miesiącach wpadł jednak w poważny konflikt z Rządem Królestwa. Mianowicie odmówił wykonywania zarządzeń cara Mikołaja, odnośnie pozbawiania uczestników powstania ich majątków. Za to został wydalony ze służby. Ostatnie lata spędził w swoim majątku w Krośniewicach. Zmarł w Łomży w 1841 r.

Wielką rolę w rozbudowie Łodzi przemysłowej odegrał — wbrew twierdzeniom niektórych historyków niemieckich — element polski. Zarówno inicjatywa, jak i pierwsze plany rozbudowy ośrodka przemysłu włókienniczego, wyszły od Rządu ówczesnego Królestwa Polskiego, zwłaszcza prezesa Komisji Administracyjnej Województwa Mazowieckiego. Przybyli do Łodzi pierwsi obcy tkacze musieli podporządkować się polskiemu prawodawstwu i przepisom polskich cechów. W miarę upływu czasu, napływały do Łodzi coraz więcej polskich robotników i chłopów z okolicznych miast i wsi, i tu, w fabrykach włókienniczych, znajdowało pracę. Niektórzy z nich zostali majstrami i kształcili młodych w zawodzie tkackim. Zresztą sam Rząd Królestwa i prezes Rembieliński, po utworzeniu pierwszych fabryk i po zbudowaniu miasta przemysłowego, zrzędniali z dalszego sprowadzania obcych tkaczy, a chętnie Polakom umożliwiali osiedlanie się w Łodzi i zatrudnianie ich w przemyśle.

Ten, który odważył się myśleć...

STANISŁAW KONARSKI

Bieżąca doba kulturalna zespolona silnymi więzami z podniosłymi obchodami Roku Nauki Polskiej, przyniosła kilka szczególnie znaczących rocznic a przede wszystkim Kopernikowskie 500-lecie, jubileusz PAU i 200 rocznicę powstania Komisji Edukacji Narodowej.

W cieniu tych uroczystości skryła się 200 rocznica śmierci wybitnego humanisty i reformatora na polu oświaty i wychowania, Stanisława Konarskiego. „Ten, który odważył się myśleć” („Sapere Ausus”), jak głosił medal wybitny na cześć światłego pijara przez Stanisława Augusta, odegrał szczególną rolę w dziejach naszej kultury nie tylko epoki oświecenia. Postępowa i przełomowa rola wybitnego reformatora polegała na zorganizowaniu nauczania na całkowicie odnowionych podstawach, aczkolwiek w oparciu o ożywione najlepsze tradycje kultury antycznej i renesansowej, zarzucone w dużej mierze przez późnobarokowy pseudoklasyzm.

Myśli reformatorskie Stanisława Konarskiego legły u podstaw aktywności nielicznego grona ludzi postępu, którym przyswiecał cel naprawy państwa na drodze przemian oświatowych. Bez wątpienia ka-

talizatorem przyspieszającym tę reakcję była nie tylko fatalna sytuacja polityczna państwa polskiego i upadek naszego szkolnictwa, ale również konfrontacja działalności pałaców wychowawczych i naukowych na zachodzie Europy i w naszym kraju.

Młodzieńcze lata Konarskiego upłynęły mu w murach szkół pijarskich. Wuj, Antoni Czermiński, oddał dziesięcioletniego sierotę do kolegium pijarskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Na takim wyborze zaciążyła z pewnością sytuacja ekonomiczna rodziny, bowiem przyszły autor „O skutecznym rad sposobie” miał jeszcze dziesięcioro rodzeństwa a dochody z małej wioski odziedziczonej po przedwcześnie zmarłych rodzicach, nie były wielkie. Antoni Czermiński zdecydował się zatem oddać siostrzeńca w ręce pijarów piotrkowskich, którzy zapewniali

bezpłatne kształcenie i utrzymanie wychowanków.

O czasach piotrkowskich Konarskiego mamy wiadomości nader skąpe. Wprawdzie zachowała się opinia, że już wówczas manifestował „szczególniejszą bystrość dowcipu i osobliwą pamięć” oraz zadziwiającą „ostrość rozumu i do wielkich rzeczy sposobność”, ale poza tymi zdawkowymi komplementami antycypującymi jego uzdolnienia i skłonności, nie bliżej o życiu tego ówczesnego „młodego fizycznie stworzenia” nie wiemy.

Można domyślać się, iż w jego obecności odbywały się uroczyste ceremonie otwarcia posiedzeń trybunału piotrkowskiego. Te fakty łączyły się z retorycznymi popisami wykładów i uczniowi pijarskich. Był także świadkiem gwałtownych antagonizmów wiodących do częstych burd, jakie wybuchowały pomiędzy uczniami kolegium pijarskiego a jezuitami. Ci ostatni zdolali wdrzeć się do Piotrkowa, zakładając kolegium konkurencyjne. W tym trybunalskim grodzie zrodziła się w Konarskim głęboka niechęć do wszedobylskich a przy tym rozpanoszonych reprezentantów „czarnego zakonu”,

która towarzyszyła mu do grobowej deski.

Wątpliwe jednak, aby wyniosł z Piotrkowa zbyt wielką miłość także do swoich mistrzów. Jego późniejsze życie nie dostarczyło w tej mierze żadnego echa. Trudno dziwić się temu, ponieważ szkoła pijarska tamtej daty, wzorem starszej od niej jezuitkiej „siostry”, nie dawała właściwego wychowania, chociaż historycy pedagogiki stawiają ją nieco wyżej od konkurentki spod znaku Towarzystwa Jezusowego. Szkoła pijarska nie zapewniała odpowiedniego wykształcenia, wprowadzając wychowanków jedynie w arkanam martwej erudycji łacińskiej, dając im wiedzę o słowach a nie o rzeczach. Kolegium piotrkowskie również nie było w stanie przekroczyć zakletęgo kręgu negatywnej wiedzy o świecie. Jednakże podczas pobytu w tym mieście mógł wynieść awersję do sprzedanego trybunału sądowego i niechęć do panującego systemu oświatowego. Nic więc dziwnego, że młody absolwent gimnazjum piotrkowskiego musiał się na nowo, a w zasadzie od podstaw, uczyć po opuszczeniu szkół pijarskich. Na szerszy oddech po zatechniętej atmosferze szkolnictwa klasztorowego pozwoliła mu dopiero edukacja zagraniczna.

Stanisław Konarski zasłużył się na polu teoretycznym i praktycznym oświaty narodowej, a także literatury. Autor „O skutecznym rad sposobie”, „Mowy o kształtowaniu uczciwego człowieka i dobrego obywatela”, „Rozmowy o uszczęśli-

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

wieniu własnej ojczyzny”, licznych rozpraw łacińskich i drobniejszych, opublikowanych w języku polskim, powołał do życia Collegium Nobilium, monumentalne dzieło swej aktywności reformatorskiej i oświatowej. Istotna cecha odróżniająca tę placówkę od pozostałych szkół polskich czasów ówczesnych, uwidoczniła się w ściślejszej więzi z najbardziej postępowymi tendencjami do reform w Polsce z doby saskiej. Pionierska działalność Konarskiego na niwie oświaty i wychowania stanowiła przedłużenie tej walki o odrodzenie wszystkich frontów życia politycznego, społecznego i ekonomicznego kraju, którą wiodli na arenie publicznej Leszczyński, Garczyński, czy stronnictwo Czartoryskich.

„Sapere Ausus” oddał swoją myśl pedagogiczną na usługi postępowych reform, propagując je wśród wychowanków i ich rodziców, toteż adeptów tych sposobów na gruntownie przygotowanych szermierzy naprawy państwa. Z drugiej strony własną pracą i przykładem pociągał do czynu coraz liczniejsze grono współpracowników i byłych wychowanków, przyspieszając w ten sposób realizację dzieła reform. Program tej naprawy ogarniał swym zasięgiem nie tylko zagadnienia ustrojowe, polityczne i moralne, ale także społeczno-gospodarcze.

Konarski reprezentował nieliczne grono myślicieli osiem-

nastowiecznych, którzy jasno rozumieli, że Polski szlachectwie nie podobna utrzymać w starej formie. Kwestii reform nie zawężył jedynie do obalenia liberum veto, wzmocnienia władzy państwowej, powiększenia stanu wojska i usprawnienia wymiaru sprawiedliwości, ale wybiegł również w sferę przeobrażeń sytuacji miast i mieszczaństwa, rozwoju handlu i manufaktur, poprawy doli chłopów. Za jeden z zasadniczych warunków odrodzenia ówczesnej Polski uważał zaszczepienie na jej zmruszałym podłożu feudalnym nowych, postępowych form życia społecznego i gospodarczego. Z tym celem skojarzył program wychowania i nauczania w odnowionym szkolnictwie. Kładąc coraz większy akcent na rolę języka ojczystego, zakazanego w szkołach klasztornych, nie zapominał o językach nowożytnych i wadze łaciny, prawdziwego klucza otwierającego dostęp do największych skarbów ówczesnej kultury.

Po raz pierwszy od złotych czasów renesansu, pedagogika Stanisława Konarskiego nabrała charakteru naukowego a głębia i śmiałość programu nasycała szczególnym urokiem krag najzodniejszych wychowawców, którzy porwani jego siłą stworzyli wielką szkołę pedagogiczną. Jej jednolitość i spójność odegrały znaczną rolę w odpięciu ataków reakcji oraz przygotowały odpowiednie grunt pod wystąpienie Komisji Edukacji Narodowej.

KSIAZKA

PAPUSZA - PIEŚNI MÓWIONE

Papusza — cygańska poetka, jest zjawiskiem osobliwym. Jej wiersze czy inaczej: pieśni mówionych, nie sposób właściwie odczytać bez zrozumienia wyjątkowości i niepowtarzalności jej samodzielnego talentu poetyckiego.

Odkrywcą Papuszy jest Jerzy Ficowski — znany poeta i cyganolog. Wędrując swego czasu po polsku i przetłumaczył jej wiersze, które następnie ukazały się w tomiku wydawnym przez „Ossolineum” w 1956 roku pt. *Pieśni Papuszy*. Tłumacz przypomina te wszystkie fakty w posłowie do drugiej książki Papuszy, która aktualnie ukazała się w wydawnictwie Łódzkim. Czyny to słusznie, gdyż po wywołanej w owym czasie atmosferze sensacyjności wokół autorki (to specjalność ilustrowanych magazynów) nastąpił długi okres milczenia. Jaka była tego przyczyna? Wyjaśnia to Jerzy Ficowski, wzbudzając w czytelniku, kto wie, czy nie smutniejszą zadumę, niż ta garstka wzruszających, prostych, a zarazem głęboko ludzkich wierszy-pieśni.

Papusza oficjalnie Bronisława Wajs, urodziła się w 1909 roku. Nigdy nie chodziła do szkoły, sama nauczyła się czytać i pisać. W jej pokoleniu, jak stwierdza Ficowski, była to rzadko spotykana umiejętność. Już ten sam fakt stawia ją we własnym środowisku w roli odmienca. Cyganie się ze mnie śmiali i plułi na mnie — pisze w życiorysie. Trudno sobie wyobrazić reakcje tych ludzi, kiedy jej wiersze zaczęły się ukazywać w pismach, a wreszcie w książce. To było przyczyną jej wieloletniego milczenia. Pod presją środowiska, które każde wyjście na zewnątrz uważa za swoistą „kolaborację” zniszczyła swoje rękopisy. Wydawało się wówczas, że jest to odejście Papuszy na zawsze.

A przecież jej wiersze wzbudziły uznanie i zrozumienie wśród poetów najwybitniejszych. Julian Tuwim wystąpił się dla niej o stypendium z Ministerstwa Kultury, przysłał książki. Pisał do niej: *Trudno mi powiedzieć z jaką radością czytałem te świeże, żarliwe, serdeczne wiersze. A Julian Przyboś. Utwory Papuszy są zjawiskiem na naszych ziemiach niezwykłym nie tylko z tego względu, że objawiają one pierwszą poetkę cygańską. Przedstawiają rzadki przykład poezji pierwotnej, autentycznie samorodnej. I dalej, przewrotnie, ale z jakże ciepłą życzliwością: Wyznam rzecz może śmieszna: myśl w tej piosence zawarta wydała mi się głębsza i szlachetniejsza niż dumny testament horacjański. I jeszcze opinia Anny Kamieńskiej: „Ludowa, jakby sprawdzona przez wielu pieśniarzy jest trafność i oczywistość porównań i epitetów w najlepszych pieśniach Papuszy. Ale już nie ludowa, a własna, indywidualna jest wartość emocjonalna tych pieśni. Zacytowałem tak obszernie, za Ficowskim, wypowiedzi wybitnych poetów o twórczości Papuszy. Cóż więcej można do nich dodać? Niewiele, i nie trzeba. Może tylko to, że po długim milczeniu Papusza, jakby narodziła się od nowa, a jej wiersze są bardziej dojrzałe, jej poetycka wypowiedź jest bardziej rozległa tematycznie, pełniejsza jak w wierszu „Ziemio moja, jestem córką twoją”:*

*Ziemio, co blaskiem błysnę w niebo
jakbyś ze złota była,
ziemia czarnooleśna i moja,
matko wszystkich i moja,
matko piękna, bogata!
Tęskni moje czarne serce
za twoją pieśnią”*

Tomiki poetyckie ukazują się w nakładzie 500—600 egzemplarzy. Wiersze Papuszy, w estetycznej szacie edytorskiej, Wydawnictwo Łódzkie opublikowało w nakładzie 2000 egzemplarzy. Z satysfakcją trzeba podkreślić, że jest to decyzja trafna i spotka się również z uznaniem miłośników tej niezwyklej poezji. A Jerzemu Ficowskiemu jeszcze raz serdeczne podziękowanie. Kto wie, gdyby nie on?

NIE — KRYTYK

TELEWIZJA

NURT

Ten skrót oznacza: Nauczycielski Uniwersytet Radiowo-Telewizyjny. Oznacza również zmianę tradycyjnych form i metod w szkolnictwie wyżym. Zmuszają bowiem do tego obecne i przyszłe potrzeby. W bieżącym roku akademickim ok. 23 tys. nauczycieli rozpoczęło studia zaoczne. W latach następnych będzie dokształcać się w zakresie studiów wyższych ok. 125 tysięcy (!) osób. NURT jest więc jedynym rozwiązaniem.

Programy NURT-u przygotowane zostały przez zespół międzyresortowy, w skład którego weszli przedstawiciele ministerstw: oświaty i wychowania, nauki, szkolnictwa wyższego i techniki oraz Komitetu Radia i Telewizji. Inauguracja w styczniu przyszłego roku. Przewiduje się nadanie w pierwszym roku działania uniwersytetu 90 półgodzinnych audycji w telewizji i po dwa dwudziestominutowe wykłady (tygodniowo) w radiu.

Obecnie przygotowane są już programy trzech przedmiotów wspólnych dla wszystkich kierunków studiów: pedagogiki i psychologii, filozofii marksistowskiej oraz podstaw nauk politycznych. Jak zapewnia wiceminister prof. L. Kasprzyk wykłady zostaną powierzone najwybitniejszym naukowcom i specjalistom, prowadzone będą w formie nowoczesnej i najbardziej atrakcyjnej, aby nie były nudne dla słuchaczy. Treść wykładów zostanie opracowana na poziomie uniwersyteckim, ale w niektórych wypadkach będzie zawierała elementy szkoły średniej. Ułatwi to nauczycielom, którzy mieli długą przerwę w nauce, szybsze opanowanie materiału. Dużym ułatwieniem dla studiujących będzie cotygodniowa wkładka w „Głosie Nauczycielskim” zawierająca teksty wykładów i szczegółową bibliografię lektury obowiązkowej i dodatkowej. Przewiduje się również sukcesywne opracowanie specjalnych skryptów dla studentów NURT-u.

Pierwszy rok studiów traktowany jest eksperymentalnie. Zakłada się ciągłą modyfikację studiów, wprowadzanie najlepszych treści i metod oraz doświadczeń współczesnej pedagogiki.

Wprowadzone z dniem 1 maja br. zmiany w dzienniku telewizyjnym skłoniły Ośrodek Badań Opinii Publicznej i Studiów Programowych Radia i TV do podjęcia sondażu nad jego odbiorem.

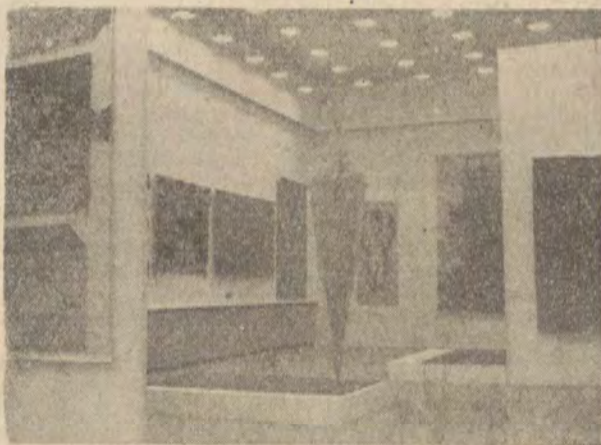
Dziennik w nowej postaci został niemal powszechnie zaakceptowany. Około 3/4 widzów uważa, że jego drugie wydanie jest obecnie lepsze i ciekawsze. Na ogół pozytywna ocena często rozciąga się na emitowany od niedawna łącznie z drugim wydaniem dziennika magazyn DTV. Nawet ci odbiorcy, którzy nie wyrażają dlań pełnej aprobaty, są zdania, że pomysł był zasadniczo dobry, ale jego realizacja nie zawsze zadowala. Akceptacja magazynu jest częstsza w tej grupie widzów, którzy są systematycznymi odbiorcami dziennika. Niektórzy aprobują magazyn ze względu na wyraźną przewagę obrazu nad słowem. Zastrzeżenia budzą niekiedy pokazywane w magazynie materiały filmowe.

Część informacyjna nowego dziennika spotkała się z aprobatą 90 proc. badanych. Tylko 10 proc. odbiorców wyrażało obiektywnie do tej części. I tak np. wskazywano na niewłaściwe proporcje między informacjami krajowymi i zagranicznymi. Niektórzy respondenci uskarżali się na niedostatek informacji zagranicznych, a także na często nieciekawą ich formę, zwłaszcza zbyt małą ilość aktualności filmowych. Zarzucano niekiedy, że w części krajowej niektóre problemy pokazuje się w sposób trochę jednostronny i lakoniczny.

JAROSŁAW TARNO

PLASTYKA

Sztuka użytkowa



Ekspozycja tkaniny unikatowej. Projektował J. Frątczak



Triennale Tkaniny. Projekt ekspozycji J. Frątczak

Znany autorów obrazów, rzeźb, grafik, rysunków, pomników; znany autorów projektów scenografii filmowych i teatralnych. Nazwiska plakacistów i nazwiska autorów oprawy graficznej książek również znane są szerokiemu ogółowi. Są to nazwiska głośne, o tych twórcach pisze się szeroko w prasie, mówi się w radio, pokazuje się ich dzieła w telewizji, kręci się o ich sztuce filmy.

Inaczej sprawa ma się ze sztuką użytkową. Projektanci tkanin, mebli, autorzy malarstwa ściennego, mozaik, autorzy form przemysłowych: samochodowych karoserii, maszyn, wreszcie autorzy opakowań, nalepek itd. na koniec projektanci wnętrz w małej i wielkiej architekturze pozostają anonimowi. Ich nazwiska z reguły nie podaje się do publicznej wiadomości. A przecież funkcje społeczne, które spełnia ich sztuka są bardzo istotne i bardzo potrzebne.

Dobrze się więc stało, że Związek Łódzkich Artystów Plastyków postanowił przyznawać doroczne medale za realizację w dziedzinie projektowania, tak jak przyznawał do tej pory za malarstwo, rzeźbę i grafikę. Należy życzyć sobie, aby stało się to tradycją, bowiem artyści zajmujący się sztuką użytkową zasługują chociaż na takie usatysfakcjonowanie.

ANDRZEJ GRUN

§ OCZAROWANIE ZŁOTEM

Władca Frygii — Midas uprosił boga Dionizosa, by wszystko, czego się dotknie, zamieniało się w złoto. Bóg spełnił życzenie Midasa. Miłość do złota doprowadziła zachłannego władcę do śmierci głodowej, abo — Midas wykopał się w rzece Paktol — właśnie, żeby obmyć się ze złotej namiętności i uratować życie i odzyskać obfitość w złoto. Nie wiemy, czy w rzeczywistości żył złoty król w naszej przeszłości, ale wiemy, że żądza zysku powodowała ludzi różnych czasów, różnych stanów i wiodła ich do wielkiego

bogactwa i do wielkiej nędzy. I tak zostało po dzień dzisiejszy. Oczarowanie złotem trwa i prowadzi, jak np. w historii z Biegunówną, czy magnatem z „Czerwonej oberży” na Podhalu, do wydarzeń, od których skóra ciępnie na głowie... „Złote gangi” działają i działają w przeróżnych konfiguracjach osobowych, kolarza ludzi o tak różnych poziomach kultury, wiedzy, stanowisk, mentalności, że nie już nas nie jest w stanie zdziwić. Tysiące ludzi pragnie, na wzór legendarnego Midasa, otaczać się złotem, aczkolwiek wykluczają z przeobrażenia w szlachetny kruszec środki żywnościowe. Wola przemieniać gromadzone w złoto w dobra użytkowe w po-

stać willi, samochodów, wykwintnych ciuchów, znakomitej biżuterii itp.

Oglądałam niedawno „zbiory”, jakie zakwestionowano u jednego z handlarzy złotem. Muszę przyznać, że zrobili na mnie wrażenie. Starałam się jednak zrozumieć, jaki sens tkwi w posiadaniu owych dóbr ukrytych w nieprawdopodobnych zakamarkach i jakie uczucia przeżywa człowiek, który musi strzec takiej masy towarowej, nielegalnie posiadanej, nielegalnie zdobywanej i nielegalnie „obracanej”.

Widziałam współczesnych „Midasów” na ławach oskarżonych. Próbowali obmyć się z winy w nieudolny sposób, uważali się

za ofiary nieporozumień, w których największym wydawało się im urzędowe czepkowanie od nich odpowiedzialności za ich „prywatne” poczynania na rzecz zdobycia bogactwa.

Wkrótce będziemy mieli następny proces (nie ostatni) o nielegalny handel złotem. Głównym bohaterem afery, w której uczestniczyło sześć osób, jest łódzki właściciel taksówki zarobkowej, 38-letni Jan G. Jeszcze zeszłego roku stał na postoi taksówek przed dworcem Łódź Kaliska. Wsiadło dwóch pasażerów, z wyglądu podobnych do Cyganów. Zaproponowali sprzedaż złotych sygnetów. Cena była wygórowana, więc Jan G. nie skorzystał z oferty, natomiast zaproponował pasażerom nabycie 100-gramowej sztabki złota, którą dostał w prezencie od teściowej. Transakcja doszła do skutku i Jan G. otrzymał 23 tys. zł. Nim się rozstali — nabywcy zaproponowali taksówkarzowi nabycie złotych monet, zwanych „afrykanami”, po 7.100 zł sztuka. Kontakt w tej sprawie wyznał w Wroclawiu na terenie Hali Targowej, w każdy piątek tygodnia w godzinach od 9 do 16, z przerwą obiadową 10—15. Powiedział, że te monety moż-

na potem sprzedać po 7.500 zł za sztukę.

Jan G. doszedł do wniosku, że będzie to zarobek łatwy i duży i poprosił swego znajomego — Franciszka T. także taksówkarza, by poszukał nabywców. Znalazła się nabywczyni — Maria G., bez zawodu i bez pracy. 11 sztuk monet stało się jej własnością. Potem nabyła jeszcze sześć „afrykanek”.

Transakcje odbywały się w różnych miejscach, w różnej — dość oryginalnej — scenarii: na ulicy, w mieszkaniach, na klatkach schodowych. Maria G. kupowała „afrykanki”, a sprzedawała złote pierścionki. Franciszek T. kupił od niej cztery za 12 tys. zł. O tym, że sprzedaje on monety, wiedział Stefan S., mieszkający razem z Marią G. I on kupił trzynaście monet za prawie 93 tys. zł.

Nie były to jednak ilości, o jakie chodziło Franciszkowi T. Szukał dalszych reflektantów. Znalazł Witolda M. karanego już za kradzież i paserstwo. Ten nabył 26 sztuk. Interes rozwijał się, gdy nagle dostawcy „towarów” z Wroclawia zakomunikowali w kwietniu br. Janowi G., żeby już nie przyjeżdżał, bo „robi się gorąco wokół nich”.

Zal ogarnął naszego taksówkarza. Nie chciał zrezygnować ze źródła zarobku. Poszedł więc do swego kolegi, Franciszka K., mieszkańca Złoczyna, który „robił w dewizach” (miał z tego powodu sprawę karną), a pracował jako kotlarz w Łęczycu, wykształcenie: 2 klasy szkoły podstawowej. Janowi G. bardzo

zależało na kupnie dalszych monet, bowiem Franciszek T. znalazł nabywcę, który wyraził ochotę kupna każdej ilości „afrykanek”. Franciszek K. pojechał razem z Janem G. do Wroclawia. Wiedział, gdzie się „zakreślić”, bo po kilku godzinach, za 180 tys. zł, które mu wręczył Jan G., przyniósł 27 złotych monet.

10 z tych monet nabył Witold M., murarz z Łodzi (3 klasy szkoły podstawowej). Pozostałe 17 zaś... nie znalazły nabywców. Zakwestionowali je funkcjonariusze MO.

Sześciorgo handlarzy złotem aresztowano. Nie wszyscy skłonni byli przyznać się do zarzucanych im czynów. Np. Franciszek K. potwierdził wyjazd z Janem G. do Wroclawia, ale nie wiedział, w jakim celu. „Byłem zapity” — powiedział. Mając na uwadze poprzednią sprawę, w której za obrót wartościami dewizowymi 600 tysięcy złotych Franciszek K. został czasowo pozbawiony wolności przed dwoma laty — stanął „zaopieczniony” nie uhonorowano.

Jan G. niczego nie ukrywał. Franciszek T. także nie. Jeżeli chodzi o winę, Ukrywał natomiast tysiąc dolarów USA, 100 dolarów kanadyjskich i inne walory. Zabezpieczono to razem z książeczkami PKO z wkładami przeszło 90 tys. zł. U pozostałych zabezpieczono również mienie tytułem gwarancji na poczet grożącej kary grzywny.

Oczarowanie złotem minęło.
ZOFIA TARNOWSKA

OFERTA WYDAWCÓW

11

Sztuka epatowania

Seks i obscena w poezji są tak stare jak sama poezja. Powszechnie wiadomo, że „Pieśń nad pieśniami” ze Starego Testamentu, a więc pochodząca gdzieś z X wieku przed naszą erą – mało raczej nadaje się dla młodzieży szkolnej. Wiele fraszek Kochanowskiego nie zawsze da się powiedzieć w mieszanym towarzystwie – a już na pewno trudno byłoby cytować starego hrabiego Fredro... Ten pocziwy komediopisarz oprócz „Zemsty” i „Ślubów panińskich” napisał na przykład „Sztukę obławiania” – poemcik tak frywolny, że wileński wydawca utworu z XIX wieku wydał tylko egzemplarze numerowane, aby nie dostały się w niepowołane ręce.

Nobliwość i aseksualność mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza” tak natomiast znużyła „późnych wnuków”, że popularny swego czasu humorysta, Antoni Orłowski (pseudonim Krogulec) napisał tzw. „niewydany fragment „Pana Tadeusza” o mrówkach ataku-

jących Telimenę... Ten frywolny suplement do poematu krążył całe lata (może do dziś?) w odpisach i pokątnych druckach...

Tak więc młodzi poeci lat siedemdziesiątych w swoich seksualnych i obscenicznych wierszach dają wyraz przywiązaniu do tradycji. Jeśli młoda poetka oświadcza wręcz: „dziś szczęśliwi tylko mężczyźni o-rzają ugory macie” – to za tymi ugorami rozciąga się ogromny obszar literackiej tradycji.

Biorąc do ręki młodzieżowe pismo literackie i czytając wiersz otwierający numer. Ładny numer! Poeta pisze: „Oglądam siebie w lustrze dworcowego kłozetu” – i dalej oświadcza: „Rozbieram się...”

Myślę, że nie ma potrzeby cytować dalej. Wiadomo przecież, jaka może być pointa wiersza, w którym ktoś najpierw ogląda się w lustrze dworcowego kłozetu, a potem się rozbiera...

W następnych wierszach Poeta poszedł już „na całość”.

Śmiałość metafory i śmiałość oceny swych fizycznych możliwości budzi szacunek. Poeta pisze:

„Penis, który jest niedoskonałą imitacją ptaka w lustrze zrywa się do lotu”.

Bardzo dobre! Kiedyś poetów inspirowały jakieś księżycy, krajobrazy i tym podobne głupstwa. Dziś wystarczy penis oglądany w lustrze. Mocna rzecz!

Zupełnie rozczerowuje natomiast inny Poeta, który napisał i opublikował spory utwór poświęcony piciu piwa. Nie ma w tym nic dziwnego. Jeśli średniowieczny Słota mógł napisać poemat „O zachowaniu się przy stole”, poemat, który wszedł do historii literatury – dlaczego dziś nie pisać o piciu piwa? Rozczarowuje natomiast pointa poematu. Poeta kończy: „Ktoś wyrzucił kilka świństw na ścianie”.

I tylko tyle? Żadnych szczegółów? Przecież można było co nieco zażytować – taka literatura zawsze zaciękała.

Kolejny Poeta lat siedemdziesiątych epatuje nas inaczej. Pisze:

„Tej nocy mogłem zgwałcić kobietę mogłem utopić płaczące dziecko mogłem mordować każdym narzędziem”.

Jak widać możliwości Autora są dość uniwersalne. Co to dla niego! Może zgwałcić, utopić, albo mordować każdym

(jaki niewybredny!) narzędziem! Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, bo Poeta nie takiego nie zrobił. Nawet mu trochę smutno, że się nie rozerwał – pisze zrezygnowany – „nie zrobiłem niczego”. No, niezupełnie, napisał przecież wiersz. Myślę więc, że wobec alternatywy: mordować, gwałcić, topić, czy pisać wiersz – to ostatnie jest społecznie korzystniejsze. A w każdym razie bezpieczniejsze.

Na zakończenie tych żartów zaskoczę Czytelnika.

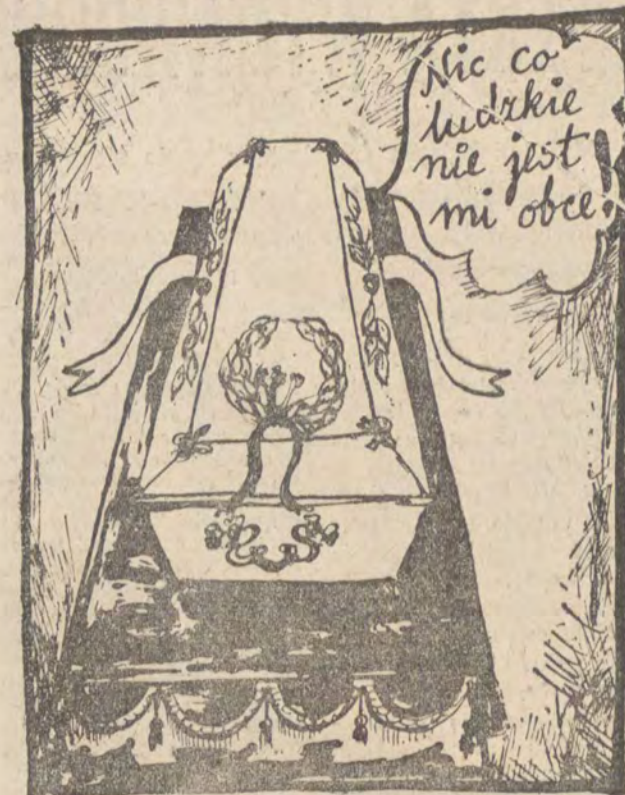
Otóż są to na ogół zupełnie dobre wiersze. Te wszystkie próby epatowania czytelnika drastycznym obrazem, ordynarnością nierzaz – są zapewne jakimś protestem, buntem przeciwko ułudzonemu, gładkiemu obrazowi świata. Przeciwno temu obrazowi, wywierającemu na podświadomości, wymuszkanej literaturki.

Przed bardzo wielu laty futuryści łamali rygory ortografii i obrażali ówczesną estetykę. Głosili hasła, które do dziś znajdujemy nawet w szkolnych podręcznikach literatury. Hasło to brzmiało: „Policzek gustom publiczności”. Młodzi poeci lat siedemdziesiątych robią to samo. Ja się nie gorszę. Śmiesz mnie tylko, jeśli starają się nam wmówić, że robią to po raz pierwszy, że odkrywają nowe obszary w literaturze.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM OKIEM!

Chleb i opony

„Bo jestem z kraju gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie” – pisał Norwid przed wiekiem. Jesteśmy jednym z krajów o najwyższym spożyciu chleba na głowę mieszkańca, czcigodnych gości wita się u nas chlebem i solą, chleb jest dla nas symbolem przychylności losu, wszystkiego, co dla człowieka najistotniejsze.

Do wszystkich naszych miejscowości wzdłuż granicy z Niemcami R. ibliką Demokratyczną przybywają z tamtej strony zapobiegliwie niemieckie gospodynie po chleb – bo smaczniejszy niż u nich. Należy o wiście być dumnym przede wszystkim z eksportu

precyzyjnych obrabiarek. Ale mnie jakoś cieszy także i to, że mamy smaczny chleb, lepszy niż gdzie indziej. Może ścisłej byłoby powiedzieć: nie mamy smaczny chleb, bo tak na co dzień to różnie bywa i już nas w „Kulturze” strasza że wielkoprzemysłowa produkcja pieczywa nie da się pogodzić z bułeczkami, razowcem, sitkowym i pyłowym. Zniknie to wszystko i nastąpi era cieniotek, zawsze świeżych plasterków w celofanowym opakowaniu. Na razie jednak wiemy jeszcze, co to jest dobry, świeży chleb.

Przed paroma dniami czytaliśmy w prasie łódzkiej, że na jednym ze śmietników znale-

zono sto kilogramów chleba wyrzuczonego przez jakiś sklep. W moim bloku wyrzucano się niekonsumowane ciasteczka kawalki razem z całą masą różnych domowych odpadków wprost do blaszanych pojemników. W tysiącach domów jest na pewno tak samo. Pewnie, że nie ma powodu nadawać magiczny sens jednemu ze środków spożycia, bo dlaczego chleb ma być symbolem magicznym, a nie na przykład marechewka? Ale zostawiając na boku nasze niebrzydkie zresztą, chwalebne resentymenty, czy nie jest to najżywej i najbardziej marnotrawstwo? Po co mieszać kawalki – czasem całe sztuki – ciasteczek pieczywa ze sfileczonymi bułkami, zarzewiałym drutem, gnijącymi liśćmi i niedojedzonym bigosem? Czy nie lepiej żeby się nim pożywiły kurki czy świnki, młaskając i gładząc z uciechy? Przecież to kapitalna karma, lepsza od piechonych z trudem macek rybnych i różnych importowanych mieszank. Niezgodę tu nie wymyślano, waleń lat temu już wydano zalety, że obok pojemników na śmieci z gospo-

darstw domowych ustawiały jakieś naczyńa na pieczywo. Dlaczego nikt nigdzie tego nie robi? Czy to takie bardzo trudne, czy może znów zbiórka i „eksploatacja” odpadków pieczywa jest nieopłacalna?

To jest takie samo marnotrawstwo jak dla przykładu niezwykła różnorodność butelek i słoików, stosowanych przez przemysł spożywczy. Można o-bejść siedem sklepów, i żaden nie kupi pustej butelki lub słoika. On takiego soku nie prowadzi. On tych cebulek w oście nie miał. On takich naczyń odkupił nie może. Wyrzucił więc puste naczynie do pojemników, a stamtąd trafia to wszystko na wysypiska. Może i nie warto o tym mówić, może ktoś już obliczył, że właśnie tak jest najekonomiczniej. Nie mówię przecież, że należy zawsze i wszędzie oszczędzać za wszelką cenę. Jużemy mieli czas oszczędzania surowca drogą pocieniania przedzi i doszło do tego, że pończochy damskie rozpadły się od samego patrzeć. Już byli racjonalizatorzy, którzy wymyślili, że zamiast smarować klejem całą powierzchnię

tęgo, co ma być sklezione, wystarczy tylko tknąć pedzelkiem w paru punktach, zaoszczędzi się kleju. Owszem, klej został, tylko nie się kupy nie trzymało. Taka racjonalizacja nikogo już dziś nie fascynuje, co nie znaczy, żeśmy się bez reszty zabezpieczyli przed popelnieniem kosztownych błędów.

Istnieją na przykład normy przebiegu opon samochodowych. Jeżeli opona pracuje krócej niż przewidziano normą to nie jest to – w świetle przepisów – powód do zareklamowania jej jakości u producenta, natomiast jest to powód do wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do kierowcy, który – a tej oponie jeździł. Jeżeli kierowca jeździ na tej oponie dłużej niż ustalono w normie – jest premiowany za oszczędność. Świeżnie. Tylko że kierowca chce dostać premię i jeździ bardzo długo, tak długo, aż opona trzaska w biegu i może być nieszczerze. To nie są krakania czarownic, takie nieszczerze zdarzyło się właśnie 6 lipca w Bukowinie Tatrzańskiej, właśnie z takie-

go powodu. Trzyście osób rannych.

Jeżeli taki system premiowania oszczędności jest najlepszy z tego co można było wymyślić to proponowałbym go rozszerzyć także na inne sfery ludzkiego działania. Na przykład premiować za jak najdłuższe użytkowanie windy bez remontu, dopóki się nie zerwie, i za jak najmniejszą zużycie farb antykorozyjnych, czyli – niemożliwe, mostu, dopóki się od rdzy nie rozsypie. Na szczęście windy w moim domu nie ma, a jadąc autobusem, tak czy owak ponoszę pewne ryzyko. Myślę natomiast, że masy czerstwego chleba szkoda skazywać na bezpożyteczne gnicie. Bo jestem z kraju, gdzie nawet kruszynę chleba podnoszono kiedyś z ziemi przez uszanowanie...

ĆWIEK

PRZECIEŻNOŚĆ

Wrześniowe refleksje

Wrzesień: jak co roku szpalaty czasopism wypełniają się wspomnieniami o tamtym Wrześniu, który rozpoczął się gładem bomb, spadających na polskie miasta i wsie. Stopniowo w konfrontacji zbiorowych przeżyć z rozszerzającym się zasobem wiedzy o tamtych latach, zmieniają się nasze historyczne sądy, wydoskonala się optyka oglądu tamtych zdarzeń. Nie narzekajmy na ową nieuchronną zmienność spojrzenia: poznanie historyczne nie jest przecież jednorazowym aktem, ale procesem uporczywego, dokonującego się nie bez zakłóceń, docierania do dziejowej prawdy, w miarę przewidywania niedostatków posiadanych informacji, man-

kamentów metody, uzyskiwania coraz nowej wiedzy o coraz dalszych skutkach dziejowych zaszciości.

Myślenie historyczne Polaków rozwijało się w czasach nowożytnych pod przemożnym ciśnieniem problemu przyczyn upadku dawnej Polski. W warunkach bezpieczeństwa bytu pytanie o przyczyny, które do niego doprowadziły, miało znaczenie jak najbardziej aktualne i w zależności od odpowiedzi, władne było uzasadnić różne ludzkie postawy w teraźniejszości. Właśnie wówczas kształtowały się główne nurty polskiej refleksji historycznej, do których z czasem przyjdzie nawiązywać – świadomie, czy też nie – przyszłym

pokoleniom. Stanowiły one wachlarz poglądów, grupujących się wokół dwóch stanowisk skrajnych: pojmowania upadku Rzeczypospolitej jako wyniku jedynie własnych win „olaków, albo skutku win cudzych, popelnionych przez mocarstwa rozbiore. Oczywiście nie zawsze formułowano sądy w sposób tak skrajny, istniało i pogłębiało się zróżnicowanie poglądów, ale wszystkie nie mogły uniknąć dylematu odpowiedzialności za ów dotkliwie niekorzystny stan egzystencji narodowej w warunkach zabiorów.

Wielkie historyczne spory rozpoczęły się jeszcze u schyłku XVIII stulecia i właściwie nigdy się nie zakończyły. Nasiliły się szczególnie w drugiej połowie XIX stulecia, kiedy to po klęsce powstania styczniowego, w atmosferze rozczarowania do dalszych zbrojnych prób wybitcia się na niepodległość, szkoła historyczna krakowska starała się uczynić z teorii własnych win jedyną podstawę dla całostowego sądu o polskiej przeszłości, co spotkało się naówczas z ostrymi sprzeciwami nie tylko ze strony epigonów romantyzmu, lecz również przedstawi-

cieli nowej, pozytywistycznej formacji intelektualnej. Niezwykłe spory ponowiły się na przełomie wieków, kiedy to zaznaczyło się z kolei nasilenie teadencji „optymistycznych” związane z nadziejami politycznymi, jakie wiązano z nowymi układami stosunków społecznych i politycznych w świecie. Tendencje apologetyczne w stosunku do przeszłości Polski doszły do zenitu w okresie I Wojny Światowej, a ich najbardziej wyidealizowanym przykładem jest tłumaczenie na wiele języków, adzwyczaj poczytna wówczas książeczka Antoniego Chłonińskiego „Duch dziejów Polski”.

Głosy rozsądku, wzywające naszą myśl historyczną do przezwyciężenia jednostronności sądów, wyzwolenia ich spod presji tak „pesymizmu”, jak historycznego „optyzmu”, jakie padały nierzaz w okresie międzywojennego dwudziestolecia – by wspomnieć tu choćby tylko wystąpienia Marceliego Handelsmana – nie spotykały się z większym społecznym odzewem, chociaż nauka historyczna uczyniła wiele dla wyzwolenia się z zakłętęgo kręgu dawnych schematów. Wydawałoby się, że

problem stopniowo przestawał być tak aktualny, jak dawniej, kiedy... zaktualizowała go klęska wrześniowa.

Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, kto ponosił odpowiedzialność za Wrzesień – a od tego nie mogła się uchylić żadna orientacja polityczna – przypominało dawniejsze spory o to, kto odpowiadał za katastrofę dawnej Rzeczypospolitej. Dawne, zdawałoby się nieaktualne koncepcje historyczne, dotyczące dawnej katastrofy, odbijały się rimoschem na poglądach na najnowszą katastrofę polskiej państwowości...

Głębsze wejście w treść historycznej publicystyki, jaka rozwijała się na łamach tajnej prasy wszystkich politycznych obozów w okresie okupacji, potwierdza tę obserwację w całej rozciągłości. Zwraća ono uwagę na istnienie w świadomości historycznej społeczeństwa prócz zmiennych, również stosunkowo stałych, długotrwałych struktur myślowych, znacznie trwalszych, niżby można było mniemać na pierwszy rzut oka. Potwierdzają tę obserwację dzieje już wojennej dyskusji o ocenę Września, w których ustawicz-

nie dawały się spozstrzegać reaktualizacje dawnych ujęć, często zdawałoby się od dawna zapomnianych.

Chyba nie będę w błędzie g y wyrażę pogląd, że w ostatnim okresie dyskusji o Wrześniu skrajność sądów była powoli acz nie bez oporów ustępować miejsca poglądom spokojniejszym, bardziej wyważonym i lepiej udokumentowanym. Byłoby to ze wszech względów korzystny owoc zaćiętych dyskusji, jakie toczyły się z ogromną werwą jeszcze przed kilkoma laty. Korzystny dlatego, że przybliżający nas do prawdziwego oglądu przeszłości, która ani nie jest tylko różowa, ani jedynie czarna, dlatego również, że nie demobilizujący skrajnościami czarnego pesymizmu, ani nie upajający złudliwym blaskiem łatwego optymizmu. I znów przypominają mi się słowa Szymona Askenazego: „Byliście winni – tak społeczeństwu polskiemu tłumaczy niezbicie nauka dziejowa – nie byliście winniejsi od innych...”

LEKTOR